

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 5

Jerozolima, 1 czerwca 1943 r.

Rok I

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

NIEPORWANA EUROPA

Nieprawdziwą była legenda o porwaniu Europy przez Zeusa. Prześliczna bowiem księżniczka przez nikogo dotąd porwać się nie dała. Co więcej, nie bardzo widać nawet tego szczęśliwca, który by miał wszystkie warunki po temu. Starających się wielu, — ale każdemu czegoś brak. Starali się to zrobić Frankowie. Starali się o to cesarz Świętego Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, które nie było ani święte, ani rzymskie. Starali się to zrobić Turcy, królowie szwedzcy i królowie francuscy i znowu Francja Napoleońska. Długo jeszcze ciągnie się szereg zalotników.

Jednym ze stadiów zalotów o miłość księżniczki jest i obecna wojna. Różnica w porównaniu z zeusowym przedsięwzięciem jest ta, że zalotników wielu i wszyscy występują przy akompaniamencie muzyki weselnej ponuro brzmiącej, przynosząc dary w postaci czołgów, samolotów, chowając w zanadrzu niespodzianki, nie świadczące o idealnej miłości do księżniczki, która i tym razem ma wielką ochotę wykręcić się sianem.

Mamy jednak nadzieję, że jak dotychczas, tak i teraz znajdują się siły, które przeciwstawiają się usiłowaniom i narodów, i wodzów, które staną na drodze planom ujęcia tej, jakże małej w porównaniu do innych, części świata w jeden system polityczny, oparty na przewadze jednego czynnika.

Jakież były siły, którym zawsze udawało się przeciwstawiać tym dążeniom? Nie warunki naturalne przecie. Zdobywano imperia i tworzone je na znacznie większej przestrzeni niż ta zanarchizowana, oporna, buntownicza Europa, która rozmaitymi ludami zaludniona, mozaiką kulturalną bogata, zawsze znajdowała w sobie jakieś siły ukryte, niweczące ambitne plany. Te siły dla nas, państwa i narodu, który nigdy imperialistycznych planów, nawet w największym okresie naszej świetności, nie żywił, są zasadniczym warunkiem istnienia i rozwoju.

Siły te płynęły z jednego zasadniczego faktu. Nie ma narodu w Europie, któryby miał jakkolwiek tytuł do wyższości kulturalnej czy innego rodzaju nad resztą. Kultura grecko-rzymska odradzała się wśród coraz to nowych narodów rodziny europejskiej. Każdy naród Europy Zachodniej lub Środkowej przechodził okres, w którym dawał więcej niż inne dla rozwoju kultury, czerpiąc wprost ze starego źródła. Ta równość kulturalna wśród narodów Europy uniemożliwiała przewodnictwo jednego. Za równością kulturalną idzie i dążność do równości politycznej. Prawie jednocześnie z deklaracją praw człowieka próbowano ustalić deklarację praw narodów (1795).

Historia Europy zawsze zaczyna o jeden zasadniczy fenomen polityczno-prawny, ciążyący na wszystkich, którzy ambitne plany w stosunku do niej snuli. Tym faktem — to państwo rzymskie. Organizacja, która stworzyła największe idee i tym ideom dała wspieranie, dojrzałą formę organizacji prawnej, wynikającej nie tylko z siły, reprezentowanej przez grupę obywateli rzymskich, ale i z zespolenia wszystkich wartości kulturalnych, narodowych, religijnych i gospodarczych, jakie w ramach prawa rzymskiego się znalazły. Podstawowym elementem, łączącym społeczeństwa Imperium Rzymskiego w jedną całość, jest system prawny. Ten system prawny był doskonały w swojej zupełności. Jednolity dla całego Imperium, uwzględniał dążenia odśrodkowe i w ius gentium stwarzał źródła przyszłego rozwoju. Nie było to jeszcze późniejsze prawo międzynarodowe, względnie, jak chcą niektórzy, prawo narodów. Ale były to prawa, które na ogromnym na owe czasy obszarze zapewniały życie i rozwój grupom ludzkości wedle ich wyobrażeń, potrzeb kulturalnych i cywilizacyjnych, a co najważniejsza, woli i charakteru narodowego.

Ten czynnik prawa był jedynym nieodzownym warunkiem w ówczesnych stosunkach dla stworzenia społeczności narodów. Później sprawa komplikuje się, przychodzą czynniki, które powodują, iż samo prawo całości zagadnień uregulować nie może. Przez okres jednolitości chrześcijaństwa, które tylko pozornie ciągnie się do Pokoju Westfalskiego, oprócz systemu prawnego, coraz bardziej tracącego na jednolitość, spójności, istnieje jednolity rząd duchowy Biskupa Rzymskiego. Pojawienie się nowych czynników, tym razem gospodarczej natury, wali w gruzy tę harmonię i całość, jaką przedstawiał system średniowieczny. Na średniowieczu kończy się jakimś takim powodzeniem uwiecznione usiłowanie

stworzenia jednolitej organizacji świata cywilizowanego. Rząd jednolity religijny i prawa jednego chrześcijańskiego suwerena próbowano zastąpić prawem narodów. Hipnotyzująca potęga prawa, jaka pozostała w spadku po Imperium Rzymskim, którego stosunki wewnętrzne w tym bodajże okresie były najmniej znane, leży u podstaw tej filozofii, która podyktowała zasady prawa narodów. Historia wojen XVII, XVIII, XIX i XX wieku dowiodła niemożliwości uregulowania stosunków w Europie wyłącznie na podstawie prawa narodów.

Wśród tej anarchii zaznaczają się jednak siły i tendencje do przeciwstawienia się samowoli poszczególnych państw. Wśród zmagani o władzę powstają idee, stające w poprzek polityce siły. Gdy po długim okresie wojen napoleońskich Europa, zdaniem rządzących współczesnych, wymagała uregulowania porządku raz i na zawsze przez odpowiednią umowę między państwami, brytyjski minister spraw zagranicznych Castlereagh, odpowiadając na żądanie cesarza rosyjskiego, by Anglia udzieliła gwarancji dla stanu stworzonego w Europie uchwałą Kongresu Wiedeńskiego, zapisał stanowisko odmowne. Powołał się na rozumowanie, które nie mogło przemówić do umysłu wschodniego władcy. Twierdził, że w Anglii istnieje parlament i opinia publiczna i że rząd Jego Królewskiej Mości musi się z nią liczyć. Naród nie zgodzi się na wojnę, nie znając jej powodów. Nie może się zgodzić na nią zgóry, gdyż mógłby walczyć nie w obronie sprawiedliwości. Jak nowoczesne jest to stwierdzenie. Jak głęboko ujmując zasadniczy problem, stojący przed człowiekiem odpowiedzialnym za prowadzenie polityki międzynarodowej i teraz. Jakkolwiek trudno gwarantować jakiś system polityczny, to jednak istnieje w praktyce system obrony sprawiedliwości i prawa.

W chwili obecnej chyba niewielu zostało ludzi, którzy wierzą w praktyczną wartość tego rodzaju organizacji jak Liga Narodów. Niemniej jednak obserwujemy fenomen, niezrozumiały w świetle naszych zapatrywani

na wartość organizowania bezpieczeństwa zbiorowego, choć wszyscy przymujemy go za rzecz naturalną. Oto za każdym razem, gdy zorganizowane porozumienie państw rzuca przemożne siły zbrojne do opanowania Europy, a stąd do opanowania świata, ta reszta niezorganizowana stawia opór i stopniowo doprowadza do zmobilizowania takich sił, że napad zbójcejski kończy się fiaskiem. Przecież to nic innego, jak właśnie bezpieczeństwo zbiorowe. Stany Zjednoczone, mimo swojej tradycyjnej izolacjonistycznej polityki, która bynajmniej nie należy do przeszłości, dwukrotnie w pierwszej połowie XX wieku biorą udział w walkach, w których o interes Stanów Zjednoczonych idzie tylko bardzo pośrednio. A jednocześnie Stany Zjednoczone, a między nami powiedziawszy i każde inne demokratycznie myślące państwo, nie chcą przyjąć zobowiązań zbrojnej interwencji na wypadek zakłócenia spokoju. Tezy polityczne stają się prawem, gdy stają za nimi przekonanie narodów. Kierownictwo polityki brytyjskiej stawiało tezę, że granica Wielkiej Brytanii leży nad Renem, że w obronie tej granicy Wielka Brytania zawsze musi wystąpić, stwarzając w ten sposób granice swoich interesów. Później Wielka Brytania wystąpiła w obronie Włoch. Daje to pojęcie o granicach, o przestrzeni w jakiej się obraca myśl polityczny każdego społeczeństwa, które może myśleć samo i samo brać odpowiedzialność za swoje wystąpienia. Przeciwstawienie się supremacji Napoleona, wojny krymskie, wojny światowe, pierwsza i druga, są wyrazem działania tych zasad. Jakkolwiek nie ujęte w formy traktowe, jakkolwiek nie poparte przymierzami, zasady te stanowiły koncepcję polityczną, wypróbowaną w najtrudniejszych dla Europy momentach.

W życiu politycznym Europy działają więc dwie koncepcje. Każda z nich dysponuje realnymi siłami. Pierwsza — to koncepcja supremacji jednego lub grupy państw silniejszych, druga to zasada oparcia stosunków w Europie o system, w którym poszczególni członkowie

W numerze:

Ukraińcy w Polsce. Cerkiew Prawosławna. — K. Prus: Wolność — siła — prawo. — I. Kleszczyński: Wiosenna orka w pustyni. — Z. Kotowicz: Prasa podziemna w Polsce. — Z. Broncel: Sonety uralskie. — M. Wankowicz: Krwawa ofiara u Samarytan. — J. Minder: Miasta — etapy. — E. Fajans: Dwie francuski książki o wojnie. — Angielska książka o polskim malarstwie. — L. Piwowar: Żołnierz który klęczy. — Przegląd polityczny. — Kronika polska. — Wydawnictwa sowieckie.

Naczelnny Wódz na Środkowym Wschodzie



Naczelnny Wódz i Prezes Rady Ministrów gen. Władysław Sikorski przybył dn. 26 maja do Kairu, skąd udaje się do miejsc postoju Armii Polskiej na Wschodzie.

społeczności międzynarodowej odgrywaliby mniej lub więcej równorzędną rolę.

Ta pierwsza koncepcja, która początkowo miała za cel opanowanie Europy, z biegiem czasu rozszerza swój zasięg. Odkrywanie i wprowadzanie w orbitę życia politycznego coraz to nowych lądów, krajów, powoduje że opanowanie Europy staje się odskocznią do dalszej ekspansji. Od czasu Kongresu Wiedeńskiego ustala się idea organizacji Europy przez porozumienie się możnych świata. Idea ta od czasu do czasu przeżywa kryzysy. Raz po raz jeden z wielkich kontrahentów usiłuje narzucić swą wolę i interesy innym. Wojna Krymska, ekspansja Niemiec, oto niektóre tylko z przykładów ostatnich kilkudziesięciu lat. Opresja reszty świata przez porozumienie się kilku państw jest tylko wynikiem równowagi sił, którą każdy, kto tylko uzna to za możliwe, stara się naruszyć przy pierwszej sposobności. Ostatnio do tej koncepcji równowagi sił włączono, stosowane zresztą już poprzednio w dziedzinie kolonialnej, pojęcie sfery odpowiedzialności za międzynarodowe bezpieczeństwo w jakimś rejonie. Realistyczna jednak ocena pozwala przypuszczać, iż nie skończyłoby się to tylko na tym. Przyszłaby w ślad za przewagą polityczno-wojskową supremacja gospodarcza i kulturalna, a następnie także i zniszczenie samodzielności mniejszych państw i narodów. Przykładem tego jest choćby ekspansja niemiecka na Bałkanach.

W momencie dzisiejszym, gdy zwycięstwo Narodów Sprzymierzonych staje się coraz bardziej pewne, gdy coraz widoczniej i jawniej zaznacza się zwątpienie w zwycięstwo po stronie przeciwej, rozgrywa się narazie przede wszystkim na łamach prasy walka tych dwóch zasadniczych koncepcji. Czy zwycięży zasada ujęcia siłą świata w ten sposób, by wojny w przyszłości były niemożliwe, czy też nastąpi taka reforma prawa narodów, że konflikty pomiędzy wolnymi członkami tej społeczności nie doprowadzą do tak tragicznych wydarzeń, jak druga z kolei wojna światowa? Czy w ślad za tą reformą prawa pójdzie i reforma gospodarcza i zjednoczenie całego świata, czy też podzieli się świat na niezależne od siebie a wrogie sobie systemy gospodarcze, które będą stanowiły trwałą groźbę dla przyszłego pokoju? Wielkie kolosy bowiem, z których nie wszystkie znalazły się w obecnej walce o demokratyczny system rządzenia światem z własnej woli, po początkowym okresie, w którym usiłować będą opanować te przyznane sobie sfery wpływów, uderzą na swoich kontrahentów. System ten zawiera niebezpieczeństwo podziału Europy a i świata całego na rejony, w których będą panować wprost wrogie sobie systemy gospodarcze rządzenia. Niebezpieczeństwo stąd widoczne. Będzie to zapaść nowych zmagani, w których małe narody nie będą miały innej roli do odegrania, jak pójść wraz z jednym z silniejszych na podbój reszty świata. Kto wie, czy w przyszłym konflikcie, gdyby ta koncepcja zwyciężyła, Polska i Grecja chciałyby walczyć z silniejszym w obronie zasad, które teraz zostały by przekreślone. Istnienie obecnego przymierza Zjednoczonych Narodów, ich solidarność w obecnych zmaganiach wynikają z przekonania, które ożywiało Polskę i Grecję. Przyjęcie zasad, głoszonych w słynnym już artykule londyńskiego „Times’a” z 10 marca 1943, wypłeniłoby taką możliwość na przyszłość.

Rzeczywistość polityczna nie jest nigdy wynikiem jednej myśli, jednego planu. Jest ona zawsze wypadkową wielu. Z pewnością w Europie nie będzie tak, jak to sobie niektórzy planują. Trzeba jednak już teraz zdać sobie sprawę z groźących niebezpieczeństw. Rozwiązywanie problemów europejskich przy pomocy siły byłoby błędem.

Żyjemy w epoce, która zdaje się być schyłkiem okresu rozpoczętego Rewolucją Francuską. Idea prawa naturalnego jednostki i narodu do samodzielnego bytu znalazła swe zaprzeczenie w totalistycznym ujęciu problemu rządzenia światem. To totalistyczne ujęcie nie może przejść do nowej epoki. Idea wielkich obszarów gospodarczych nie może być połączona z systemem bezprawia. Rozwiązania ekonomiczne muszą być połączone z nowymi ideami współpracy narodów na zasadzie równości prawnej. Łatwo poszukać rozwiązania w sile. Łatwiej jest odmówić praw niż zapewnić ich poszanowanie. Totalizm jest taką łatwą filozofią, jak łatwą filozofią są myśli autora z 10 marca. Nie o tym jednak myślał naród, który krew swoją przelewając na polach bitew od 1 września 1939 roku.

Prawosławie w Gen. Gubernatorstwie

Najważniejszym wydarzeniem w życiu cerkwi prawosławnej na terenie Gen. Gubernatorstwa było ogłoszenie przez władze niemieckie „autokefalii Cerkwi prawosławnej w Gen. Gubernatorstwie” i złożenie przez biskupów prawosławnych z metropolitą Dionizym na czele przysięgi na ręce Franka.

Poważną zdobyczą ukraińskiego prawosławia było uzyskanie w Gen. Gubernatorstwie dwu nowych diecezji prawosławnych, obsadzonych przez Ukraińców: chełmsko-podlaskiej i krakowsko-łemkowskiej.

Arcybiskupem chełmsko-podlaskim został Iwan Ohienko. Przed pierwszą wojną światową był on w armii rosyjskiej felczerem. Przerobiwszy następnie naukę szkół średnich, ukończył wydział filozoficzny uniwersytetu kijowskiego. Po rewolucji rosyjskiej został profesorem ukraińskiego uniwersytetu w Kamieńcu Podolskim. W czasie wojny polsko-sowieckiej należał do grupy Petlury. Po zakończeniu wojny był profesorem teologii prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim. Wydawał materiały do dziejów dawnego drukarstwa ukraińskiego. Uczestniczył w r. 1930 w zjeździe naukowym im. Jana Kochanowskiego, organizowanym przez Akademię Umiejętności w Krakowie.

Do wojny obecnej był on osobą cywilną i dopiero w r. 1940, gdy Niemcy zamierzali utworzyć chełmsko-podlaskie arcybiskupstwo, w ciągu paru tygodni otrzymał w jednym z prawosławnych klasztorów duchowne przeszkolenie i po odebraniu z rąk metropolity Dionizego święceń kapłańskich odradził został biskupem. W dniu 3 listopada 1940 r. odbyła się jego intronizacja jako arcybiskupa Ilariona.

Pracę swoją rozpoczął arcybiskup Ilarion od ukraińzowania podległej sobie cerkwi prawosławnej oraz ukraińzowania Chełmszczyzny i Podlasia. Agitacja ukraińska, jakkolwiek nie potrafiła odwrócić ludności od kościoła katolickiego, rozwijała się bardzo intensywnie, mając do dyspozycji 160 popów i 140 diaków, przeważnie uciekinierów z Wołynia i Bukowiny, oraz nowe 62 cerkwie, przerobione z podarowanych prawosławiu przez władze niemieckie kościołów katolickich. Rzymsko-katolickie duchowieństwo zostało na tym terenie masowo przez Niemców zlikwidowane, aby nie przeszkadzało w akcji ukraińzowania miejscowej ludności.

Arcybiskupem krakowsko-łemkowskim został biskup Palladij, którego nazwisko rodowe brzmi Rudzienko. Pochodzi on z Kijowa, gdzie działał za czasów Skoropadskiego. Po opanowaniu Ukrainy przez bolszewików przeniósł się on do Włodzimierza Wołyńskiego, skąd został przez miejscowe władze polskie usunięty. W r. 1939 był wyswięcony przez metropolitę Dionizego na archimandrytę, a za czasów okupacji niemieckiej został biskupem.

Prawosławie na Wołyniu

Po wkroczeniu Rosjan na ziemię Rzeczypospolitej wszyscy biskupi prawosławni, którzy zostali na miejscu, uznali zwierzchnictwo patriarchatu moskiewskiego, uosobionego przez piastuna tego tronu, patriarchę Sergiusza. Jedyny wyjątek stanowił arcybiskup piński Aleksander, usunięty za to ze stanowiska. Patriarchat przeprowadził nowy podział kościelny Wołynia, potworzył nowe diecezje, biskupom ponadał tytuły arcybiskupów, wprowadził nowych biskupów miejscowego święceni czy importu sowieckiego.

Duchowieństwo parafialne w znacznym odsetku porzucało placówki i szło na niższe posady u bolszewików. Zdarzały się też akty publicznej apostazji. Chcąc wypełnić powstałe w ten sposób luki, arcybiskup krzemieniecki, Aleksy Gromadzki, masowo wysyłał na duchownych diaków i inne osoby, bez wystarczającego wykształcenia duchownego i wartości moralnych, które nieraz nie przystępowały do pełnienia funkcji duszpasterskich, świadectwa wyswiecenia chowając na lepsze czasy.

Cerkiew na Ukrainie sowieckiej nie mogła przyjąć cerkwi prawosławnej na Wołyniu z pomocą. Była ona nie tylko wyniszczona, ale i rozbita wewnętrznie: 900 parafii stanowiły t. zw. „lipkowscy”, zwolennicy niekanonicznej autokefalii ukraińskiej z r. 1917 i zwolennicy ukraińzacji liturgii. Cerkiew oficjalna, zrussyfikowana, odnosiła się do nich wrogo jako do „samoswiadców”. Nazwa pochodzi stąd, że biskupi „lipkowscy” początkowo sami się wyswiecali, a następnie wyswiecali popów.

Autonomiczna Cerkiew Prawosławna na Ukrainie

Wkrótce po odejściu Rosjan zebrał się w Poczajowie „sobór biskupów” pod przewodnictwem arcybiskupa krzemienieckiego Aleksiego, z udziałem biskupa pińskiego Aleksandra oraz „znanych z antyukraińskiego nastawienia” (jak ich charakteryzowali przeciwnicy, wyznawcy cerkwi autokefalicznej) biskupów Beniamina, Pantelejmona, Symona i Antoniusza. Sobór ten postanowił stworzenie „Autonomicznej Cerkwi Prawosławnej na Ukrainie”, uznający zwierzchnictwo patriarchatu moskiewskiego.

Arcybiskup Aleksy wyswiewił wielu nowych popów, konsakrował dwu nowych arcybiskupów: Ławryniukę i Czawcadze, oraz wysłał swych przedstawicieli na Ukrainę Sowiecką, aby zorganizowali życie cerkiewne i kontrolowali kwalifikacje duchowieństwa. Popi, którzy za okupacji sowieckiej uchylali się od duszpasterstwa, teraz wyścigali z ukrycia pochowane dyplomy i rzucili się na obejmowanie co lepszych parafii.

UKRAIŃCY W POLSCE

III.

CERKIEW PRAWOSŁAWNA

8 grudnia 1941 r. zebrał się w Poczajowie nowy sobór i obwołał Aleksiego metropolitą cerkwi „autonomicznej”.

Ukraińska Cerkiew Autokefaliczna

Fakt ten poprzedził konflikt między ogółem episkopatu prawosławno-moskalofilskim a tendencjami ukraińzacyjnymi w prawosławiu wołyńskim.

W programie politycznym Stefana Skrypnika, który myślał o utworzeniu państwa ukraińskiego pod opieką niemiecką, z wyeliminowaniem czynników galicyjskich, leżało też utworzenie patriarchatu ukraińskiego z siedzibą w Kijowie, co oznaczało zupełne zerwanie z Moskwą.

Już wtedy uświadamiał on sobie trudności osobowe. Stanowczo wypowiadał się przeciw osobie arcybiskupa chełmskiego Ilariona oraz nie wydawał mu się odpowiedni na to stanowisko jedyny Ukrainiec-nacjonalista z episkopatu wołyńskiego, biskup łucki Polikarp Sikorski.

Po powrocie w listopadzie 1941 r. z Berlina, gdzie doznał zupełnego zawodu politycznego, Skrypnik z tym większym zapałem zabierał się do polityki cerkiewnej, która stała się jedynym polem do wyżycia się Ukraińców.

KONRAD PRUS

WOLNOŚĆ – SIŁA – PRAWO

Niedawno przy sposobności przedstawienia niektórych problemów Konstytucji 3-go Maja posłyszeliśmy następującą opinię: zagadnienie państwa to sprawa pogodzenia dwu zasadniczych momentów: siły potrzebnej, by państwo istnieć mogło, z wolnością obywateli. Konieczny tu kompromis. Trzeba zrezygnować z wolności obywateli w części, nawet bardzo poważnej, by państwo stworzyć i zachować. Rzeczpospolita Polska upadła, społeczeństwo bowiem z okresu Konstytucji 3-go Maja nie zrozumiało tej konieczności. Nawet Kościuszko sprzeciwiał się ze względów doktrynalnych tworzeniu armii.

Bardzo to logiczne ujęcie i potwierdzone końcowym wnioskiem. Rzeczywiście Państwo Polskie upadło dlatego, że nie stworzono odpowiedniej siły dla jego obrony. Niemniej jednak znajduje się w tym rozumowaniu zasadniczy błąd, prowadzący do niebezpiecznych konsekwencji.

Pomijamy tu osąd społeczeństwa z okresu Konstytucji 3-go Maja. Obojętne w tej chwili jest pytanie, czy Konstytucja nie była aktem spóźnionym i czy porozumienie mocarstw nam wrogich nie zniszczyłoby Rzeczypospolitej szlacheckiej, nawet gdyby społeczeństwo zrobiło to, co do niego należało. Te rozumowania wchodzą w dziedzinę spekulacji, której pożytku w tej chwili nie widać. Pragnę jednak powołać się na świadectwo współczesnego Konstytucji polityka i najznakomitego przedstawiciela angielskiej myśli konserwatywnej, który tak określa stan Rzeczypospolitej przed Konstytucją:

„...Król bez władzy, szlachta nie zjednoczona i nie uznająca autorytetu, naród bez sztuki, przemysłu, handlu i wolności; nie ma porządku wewnątrz i obrony z zewnątrz”. Potem ów polityk opisuje zmiany, jakie przyniosła Konstytucja, w następujący sposób:

„Widzimy, że anarchia i niewolnictwo znikają, tron zostaje wzmocniony dla ochrony narodu, bez ograniczenia jego wolności... Dzieciść milionów ludzi otrzymało wolność stopniowo... Nikt niczego nie stracił, ani nie został ograniczony w swych prawach. Wszyscy, począwszy od króla, aż do robotnika dziennego, poprawili swój los” (Edmund Burke, „Appeal from the Old to New Whigs”).

Brak zatem tego konfliktu, o którym mówi autor poglądu, przytoczonego na wstępie. Pojawia się natomiast jeszcze jeden element. Źródłem zarówno siły państwa, jak i wolności obywateli jest prawo.

I tak też przedstawiała się rzeczywistość. Koniec XVIII wieku wprowadził w ustrój państwowy element, gwarantujący porządek, wolność i siłę, ten element, który ostatecznie przybrał formę tezy o t. zw. państwie prawa. Dzieje się to wszystko na tle praktycznego renesansu idei prawa i jednoczesnego nawrotu do systemu prawa rzymskiego. Ten harmonijny rozwój prawa i w oparciu o nie instytucji państwowych doznaje zamarcia. Już pierwsza wojna światowa przyniosła zakłócenia i degenerację w praktyce rządowej, które nie były do przyjęcia w stosunkach normalnych.

Idea państwa przeżyła okres, zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej, który można nazwać okresem zwyrodnienia. Rządzący zobaczyli w państwie i w wykonywaniu władzy cel sam w sobie. Mechanizm jego miał funkcjonować sprawnie i niezawodnie, jak doskonała maszyna. I to, co stwarzało harmonię w idei państwa, rząd zasad praw przysługujących jednostce i wiążących państwo, zostało osła-

Dnia 28 listopada 1941 r. „Rada biskupia” Polikarpa potępiła działalność Aleksiego, stwierdzając, że „działalność moskalofiliska Aleksiego i przychylnych mu biskupów jest szkodliwa dla cerkwi ukraińskiej i stanowi grzech wobec narodu ukraińskiego oraz sprzeczność z kanonami”. Do potępienia tego przyłączyła się też „Rada cerkiewna” w Równym, a w przeddzień drugiego soboru poczajowskiego — dn. 7 grudnia, w „Wołyniu” rówieńskim ukazał się artykuł Skrypnika, denuncjujący biskupów poczajowskich przed Niemcami.

Pozyskawszy poparcie władz okupacyjnych, osiągnął Skrypnik także i pomoc metropolity Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej w Generalnym Gubernatorstwie, Dionizego, który udzielił pozorów sankcji kanonicznej dla Ukraińskiej Cerkwi Autokefalicznej w formie błogosławieństwa dla jej „administratora”, Polikarpa.

Usiłując przeciwstawić się tej akcji, Aleksy jeszcze w listopadzie 1941 r. odwiedził biskupa Ilariona Ohienkę, który urażony pomianiem go przez Skrypnika, chętnie obiecywał autonomistom pomoc.

Niebawem poparcie okupanta zaczęło działać na rzecz autokefalistów. W początkach r. 1942 arcybiskup piński Aleksander zgodził

się w swej katedrze wyswiewić wspólnie z Polikarpem dwu Ukraińców na biskupów: proboszcza z Myzowa, Nikarona Abramowicza, na biskupa czechryńskiego, i proboszcza z Łucka, Ihora Rubę, na biskupa humanńskiego. Fakt posiadania trzech biskupów ukraińskich miał być podstawą do legalizacji autokefalii. Na czele konsystorza Ukraińskiej Cerkwi Autokefalicznej stanął stary gracz, teoretyk soborności, Własowski, który niegdyś jako kierownik konsystorza krzemienieckiego poróżnił się z Aleksym.

W połowie marca, 1942 r. zjawił się w Łucku uchodzący za „autonomistę” biskup kamieniecki Damaskin i złożył na ręce Polikarpa deklarację wierności. Oswiadczył on, iż podpis jego pod enuncjacjami biskupów-autonomistów znalazł się bez jego wiadomości.

Wreszcie w połowie maja nastąpiło w Kijowie wyswiecenie nowych biskupów Ukraińskiej Cerkwi Autokefalicznej. Manuił (Tarnawski) został wyswiecony na biskupa białocerkiewskiego, Mychał (Choroszyj) — na biskupa Elisabetu, Focjusz (Tymoszczuk) — na biskupa czernichowskiego, Mściśław (Stefan Skrypnik) — na biskupa perejasławskiego, Stefan (Gajewski) został biskupem bez diecezji.

Wyswiecenie Stefana Skrypnika stanowiło sensację. Zapewne inicjator autokefalii, który od dawna sceptycznie oceniał kwalifikacje Polikarpa na głowę autokefalii i od dawna kłopotał się o kandydata na przyszłego patriarchę ukraińskiego — zdecydował się sam stanąć na czele tej jedynej dozwolonej przez Niemców organizacji, obejmującej Reichskommissariat Ukrainy, i wyszukać ją dla celów nacjonalistycznych. Mniej prawdopodobna jest wersja inna, jakoby skompromitowany się politycznie chciał sobie w ten sposób zapewnić byt i bezkarność na przyszłość.

Powstanie Ukraińskiej Cerkwi Autokefalicznej wywołało ostry protest patriarchy moskiewskiego Sergiusza. Na protest ten odpowiedział obelgami Polikarp, a nawet Aleksy oburzył się na mieszanie się Moskwy w wewnętrzne sprawy ukraińskie.

Niemcy rozjemcami

Zdecydowanie przychylny początkowo stosunek niemieckiego okupanta do Ukraińskiej Cerkwi Autokefalicznej uległ ostatnio zmianie.

W Równym na żądanie Reichskommissariatu Ukrainy odbyła się dn. 4 czerwca 1942 r. konferencja w sprawach cerkiewnych. Na konferencji tej rzecznik polityczny oddziału Reichskommissariatu zakomunikował zebranym zasady, jakimi kierować się będą władze niemieckie w stosunku do istniejących na Ukrainie obu cerkwi prawosławnych.

Oświadczył on, że Niemcy nie będą wyróżniać żadnej z nich. Władze zachowywać się będą tak jak w Niemczech, gdzie istnieją różne wyznania, które mogą obok siebie pracować. Jest rzeczą możliwą, że między obu cerkwiąmi nastąpi porozumienie, w co jednak władze nie mieszają się. Zajmą stanowisko obserwatora, przyglądającego się dalszemu rozwojowi sprawy. Sami wierni mogą decydować, do której cerkwi chcą należeć. Być może, że później władze wypowiedzą się w tej sprawie, obecnie jedynym ich celem jest jej pokojowy przebieg. Co do praktycznego rozwiązania przynależności do jednej z dwóch istniejących organizacji cerkiewnych, to decydującym jest głos i wola wiernych w parafiach, bo granic między cerkwiąmi nie ma. Arcybiskup na żądanie wiernych może przysłać nowego duchownego tam, gdzie jest już jeden duchowny, i obaj mogą wykonywać swe czynności. Pozostanie ten, którego uznają parafianie. W wypadku wątpliwości i skarg woje parafian stwierdza okręgowy komisarz przy użyciu aparatu administracyjnego. W razie niezadowolenia z jego decyzji można apelować do Reichskommissariatu Ukrainy. Niemcy dopilnują, by w czasopiśmie i różnych publikacjach, okólnikach duchowieństwa i t. p. obie strony zaprzestały polemiki, wzajemnych inwektyw, aby zostały zlikwidowane wśród ludności wszelkie niepokoje, wywołane walką religijną. Władze niemieckie nie mieszają się w to, kto z duchowieństwa któremu arcybiskupowi podlega, ale są przeciwnie bezpodstawnemu zwalnianiu stanowisk tak przez jedną, jak i przez drugą stronę.

Co do ziemi cerkiewnej — zakomunikował następnie naczelnik polityczny oddziału Reichskommissariatu Ukrainy — to przydział jej w myśl praw niemieckich może otrzymać tylko ten, kto na niej pracuje. Duchowieństwo nie może nakładać podatków na ludność, bo jest to prerogatywa, przysługująca wyłącznie Reichskommissariatowi. Duchowieństwo ma jedynie prawo pobierania dobrowolnych opłat za usługi. Ustalenie wysokości tych opłat zależy wyłącznie od wiernych.

Duchowni nie mogą wykładać religii w szkołach, lecz tylko w cerkwiach. Prawo wykładania religii w szkołach przysługuje wyłącznie nauczycielom świeckim, przy czym prawosławnych mogą religii uczyć tylko prawosławni. Władza nie ma przeciwko organizowaniu i prowadzeniu seminariów zarówno przez jedną, jak i przez drugą stronę.

Tak więc oficjalnie Niemcy ogłosili swoje desinteressement wobec sporu obu cerkwi na Ukrainie. Po cichu jednak musieli usilnie pracować nad doprowadzeniem do ich pojednania. Zabiegi te zostały w końcu uwiercone powodzeniem. Radiostacja ukraińska w Berlinie podała wiadomość o połączeniu się dn. 8 października 1942 r. obu kościołów prawosławnych Reichskommissariatu, autokefalicznego i autonomicznego.

IGNACY KLESZCZYŃSKI

WIOSENNA ORKA W PUSTYNI

Baghdad-North leży już na skraju przynębiającego, przytaczającego do spalonej skorupy ziemi, gnijącego, rozkładanego upalnym słońcem powietrza. Słońce, lekka depresja Tygrysu, wielka ilość wschodnimi woniami zaprawionych wyziewów — tworzą nieprzewietrzaną, przegrzaną „dolinę bez wyjścia”. Istnieje tylko ucieczka z miasta w przyległe dzielnice, słodkie pomarańczowym kwiatem, bogato obsypane ciepłym pasem róż, świeże i wilgotne wiosennym, pastelowym listwami drzew.

Pociąg z trudem odrywa się od gęstej, smolastej „plamy gazowej” z tysiąca i jednej nocy. Posuwa się wśród dzielnicy willowej, która kotarą zaproszonych, brudnych lasków palmowych, nieodłącznym rekwizytem wschodnim, oddzieliła się od drugiego miasta. To miasto żyje w niskich, matami krytych gliniankach. Przycupnięte, gęsto stoją obok siebie, podobne do wywróconych, przepołowionych walców. Zlewają się jednak szarością gliny z terenem. To szlam tamtego miasta, chronionego palisadą palm, to jego przedmieście wszędzie jednakie swoją nudzą i beznadziejnością. Żyje z kopania gliny dla cegieł, które dostarczają materiału do poszerzenia tamtego. To gliniane przedmieście barwią jedynie przesuwa się w wąskich metrowych uliczkach — ciemnych czarną stroje kobiet arabskich. Tę czerń, tę szarość gliny ożywiają tu i ówdzie błyszczące na nogach srebrne obrączki. Nudza pieczętowana lepszym pochodzeniem, wyższością szczepową.

Polityka w pociągu

Pociąg kieruje się ku północy. Każda godzina jazdy zbliża nas do wiosny zielonej, mokrej, soczystej, falującej łanami kwitnącego zboża, radosnej chłodnym zapachem. Równie tęskni jadący ze mną Anglik, od 1926 r. przemierzający te tereny na przestrzeni: Zatoka Perska, Kirkuk, Mossul, aż po ujścia rurociągów naftowych na morzu Śródziemnym. Z równą radością i ścisłością mówi o nowych metodach wydobywania ropy, podnoszeniu jej wydajności, jak o literaturze czy muzyce. Czyta w oryginale „Wallensteina” Schillera i cytuję z pamięci „Fausta”, Baudelaire’a zalicza do prekursorów symbolistów i zwalcza pogląd o przynależności jego do parnasistów. Nie wierzy w dobrych Niemców, ani w czerwoną demokrację. Mówi o dwóch kapitalnych błędach Hitlera, które są dowodem szczęścia, sprzyjającego Wielkiej Brytanii i jej sprzymierzeńcom, dowodzącego wyjątkowej opieki boskiej. Błędy te znamy: pierwszym było uderzenie na Polskę we wrześniu, co pozwoliło otrząsnąć się demokracjom zachodu z monarchijsko-chamberlainowskich czadów, drugim było uderzenie po Francji na Rosję. Tym razem uda się jeszcze naprawić naiwność powersalską. Ale to ostatni raz.

Hitler i jego towarzysze nie są odosobnioną grupą, czy kliką, prowadzącą kraj do zguby. Stanowią emanację najlepszej myśli niemieckiej, przewijającej się od czasu jednoczenia krajów Rzeszy pod egidą junkrów pruskich. Polityka Bismarcka, Wilhelma dążyła do tych samych celów. Zresztą nie tylko polityka. Problem mocy Nietzschego szuka uzasadnienia dla pięści, dla gnębienia małych, słabszych, jako konieczności rozwojowej. Filozofia niemiecka, nawet wagnerowska muzyka, tworzyły hitleryzm, idący nurtem imperialistycznej polityki niemieckiej w takt tupotu żołnierskich butów pruskiego drylu. Nauka niemiecka była i jest na usługach tych samych sił. Kto właściwie stworzył geopolitykę — teoretyczny podkład „Lebensraumu”? I dlatego dobrych Niemców nie ma. Mogą być po bardzo długim okresie wychowawczym, który zdoła przekształcić, uduchowić, uspołecznić w znaczeniu międzynarodowym przyszłe pokolenia niemieckie. Zadanie niezmiennie trudne, dyktowane obroną bytu pozostałych narodów.

Rozmowa przechodzi na zaognienie polsko-sowieckie, na wykrycie grobów zastrzelonych jeńców polskich pod Smoleńskiem. Koła pociągu złowrogo stukoczą stukotem odmierzonych salw. Anglik beznamiętnie analizuje, pyta o szczegóły, czy przed tym jeszcze ta sprawa była przez Sowietów wyjaśniana. Zbieram z pamięci interwencje liczne, „odpowiedzi”, rozmowę telefoniczną Stalina z NKWD w czasie pobytu na Kremlu gen Sikorskiego: „Poszukamy, sprawdzimy...” Widocznie szczęście komu innemu bardziej sprzyjało — dodaje. Zapada milczenie.

— Będąc w Palestynie, widziałem polskie dzieci, przybyłe z Rosji. Czy to są wszystkie, które na tamtejszych terenach się znalazły?

Nie, i znowu: dlaczego nie? Bo jest wojna i są trudności komunikacyjne. Dzieci stanowią wielki kapitał. Istotnie — największy skarb. I nie nie można zrobić? Do tej chwili nie.

— A wszystko dlatego, że jesteście na przecięciu dwóch sił jednakich, sobie bliskich. Jesteście tam kulturą i Zachodem. Dlatego zawsze kultura Zachodu będzie z wami. Może nie ta wygodna i naiwna, wierząca w łaskawość i dobroć molochów, wierząca, że kanał La Manche jeszcze raz uchroni Wielką Brytanię od grożącej zagłady. Jesteśmy z wami i będziemy z wami. Niebezpieczeństwo jest wspólne i to doskonale rozumie niejedną. Prędzej czy później zrozumieją to inni. I kultura zagrożona zagadką podkrytuje politykę.

Mój rozmówca, wysoki, szczupły, aczkolwiek nie pali fajki i nie znośli dymu, był Anglikiem, był przedstawicielem opinii Imperium Brytyjskiego.

Pod znakiem żubra

Zielony gaj krzewów i drzew oznaczał kres dwunastogodzinnej podróży. Na horyzoncie mgliły się niską fałdą góry, a wokół morze zieleniejącej pustyni.

Wśród tej zieleni i obok zabłoconych tłustą gliną obozów odbywa się rezurekcja rankiem 25 kwietnia 1943 r. Inna od poprzednich. Mundury, sprzęt — tylko troska wciąż ta sama, tym samym refrenem grająca.

Teren jest znakiem żubra chroniony — Kresowej Dywizji. Kiedyś ten sam żubr nadał nazwę grupie wileńskich konserwatystów. Tutaj jest oznaką największego postępu, rozmachu, młodzieńczego ruchu. Noszą go na rękawie młodzi, opaleni żołnierze, sprawną ręką kierujący licznymi wszelkiego rodzaju pojazdami mechanicznymi znaczącymi na żółtej tarczy też czarnym żubrem.

Po prawej i lewej stronie szosy ciągną się setki namiotów, białe płóciennych wtulonych w zieleni wiosennej, pustynnej runi. Drzemią świątecznie pod pokrowcami równo stojące w szeregiach, dźwięnie ciche na nieruchomościach, stalowych gąsienicach bojowe wozy piechoty — carriersy. Nieco dalej srożą się najeżone, smukłe i zgrabne działka przeciwpancerne, których celność niesie zagładę każdemu leżyszczu czołgowi, a unieruchomienie cięższym. Oddaliła się nieco dalej artyleria ze swoimi twarzymi w rysunku, mocnymi, zwartymi w sobie działami, spoczywającymi na lekkich oponach. Rozwarły nad nimi swe skrzydła ciagniki. Te działka dały zwycięstwo pod El Alamein, dały w Tunisie. Tuż przy szosie przysiadła rzedami namiotów, z wystrzelającymi ku niebu chwiei rozczapierzonymi antenami swych radiostacji łączność. Pośród regularnych czworoboków, tyczących szosami jednokierunkowymi, pośród tych płócien, wznosi się gliniary, nieznaczący budynek. Ze słomianki plecione drzwi osłaniają wnętrze małej izdebki, starannie kocami obitej. W rogu stoi dziwna aparatura z tablicą rozdzielczą, z kolorowymi światłami zielonym, czerwonym, żółtym. Obok stoi mikrofon, inny wisi na ścianie. Oto chluba baonu łączności Dywizji Kresowej, chluba wojska naszego, pod każdym względem unowocześnionego. To jest właśnie radiostacja nadająca przez olbrzymie megafony, słyszalna w zasięgu liczących kilometrów, w dalsze, odległe strony dojeżdżająca z urządzeniem, zainstalowanym na samochodzie. Działka rano, w południe i wieczór. Spożywającym śniadanie kolegom-żołnierzom nadaje nowiny, przejęte z radia w nocy, nadaje skoczną muzykę, niesie uśmiech, humor. W południe omawia wypadki polityczne, tłumaczy, uspokaja, niesie otuchę. Dziś w pierwsze święto nadaje barwne słuchowisko „Święcone w Polsce”. Są przysięgi góralskie, są świetne rozmówki gwarą lwowską, jest i piosenka mazurska.

Święcone zdrowych i chorych

W świetlicy długiej i czystej, z pomysłowymi, białymi kolumnkami, powstałymi przez okrycie białym płótnem drążków podtrzymujących namioty, pod orłem srebrnym, portretem Prezydenta, Naczelnego Wodza i Dowódcy Armii Polskiej na Wschodzie, w uroczystym nastroju zasiadli z dowódcą oddziału do święconego delegaci wszystkich pododdziałów. Przesuwa się talerzyk z jajkiem. Dowódca z każdym się dzieli, każdemu składa życzenia. Menażki żołnierskie dzisiaj zawierają niebylejakie smakowitości. I barszcz się znalazł, i granaty są duże, ciasto z rodzynkami, kompot.

W jednym z plutonów szef, starszy sierżant, szpakowaty, mówi do swoich krótko: „Życzę wam, byśmy najszybciej mogli się połączyć z naszymi. Ofiary tych, którzy padli, nie pójdą na marne. Wykonujemy tylko dokładnie, ściśle, po żołniersku nasz obowiązek”. Wśród zebranych jest kilku z Wileńszczyzny, jest Kamień Koszyński, są lwowianie, dzielnie ktoś reprezentuje Poznań, Kraków. Płyną rozmowy ciągle nawracające, ciągle się toczące wokół tego samego tematu: Smoleńska. Ten miał tam brata, tamten kolegę z tej samej miejscowości. Troska tych rozsiadła się wśród innych czarną chmurą bólu, żalu, smutku. Ktoś wznosił toast: za pomyślność wykonania żołnierskich obowiązków! Inny pyta: „Kiedy pojedziemy, kiedy wejdziemy do akcji?” Sąsiad ucisza gwar głosów, niech wszyscy słyszą odpowiedź. Nachyla się głowę, płowe, ciemne czupryny nieruchomieją, oczy zimne i spokojne czekają. Trzeba jeszcze czekać, trzeba być całkiem gotowym, by potem uderzyć tym silniej, tym lepiej pokazać się i wolę.

Uniwersytety kształcą amerykańskich oficerów

Stany Zjednoczone w oryginalny sposób rozwiązały zagadnienie wykształcenia kadr oficerskich dla tworzącej się olbrzymiej armii amerykańskiej. W kwietniu b. r. poddano specjalnym egzaminom 400.000 młodych Amerykanów w wieku lat od 17 do 21, podlegających obowiązkowi służby wojskowej. Egzaminy miały na celu nie tyle sprawdzenie wiadomości egzaminowanych, ile ich poziomu inteligencji. Kandydaci, którzy mają być oficerami armii lądowej, zostali najpierw postani na 13-tygodniowe ćwiczenia wojskowe, poczem zostali skierowani do kolegów uniwersyteckich gdzie przejdą specjalne kursy, trwające — zależnie od specjalności — od ośmiu miesięcy do czterech lat. Kandydaci na oficerów marynarki zostali zaraz po egzaminach skierowani do kolegów uniwersyteckich. Władze wojskowe zawarły już odpowiednio umowy z dwunastoma uniwersytetami

W świąteczne popołudnie ożywia się szpitalny obóz. Z pośród rdzawych namiotów, wyprostowanych rzędów wysuwają się chorzy, którzy przeszli malarię. Gromadzą się na obszernej trawniku bładzi przebyłym cierpieniem. Zatrzymać się tu samochód z głosnikiem, wmontowanym na dachu.

Poprzez tajemną siłę megafonów z mełgo, improwizowanego studio wycarowują koledzy zdrowi dla swoich kolegów chorych radość, przerywając szarą codzienność szpitalnego życia. Obok z zainteresowaniem przysłuchują się oficerowie hinduscy — lekarze, których wspaniałe czarne brody predestynują każdego na „posiadacza wiedzy tajemnej”. I tę wiedzę tropikalnych chorób chętnie udzielają swoim białym polskim sprzymierzeńcom, u których chętnie goszczą, których języka chętnie się uczą.

W drugi dzień świąteczny, spędzany w irackiej pustyni, wiosną pachnącej, przyszła niepewna jeszcze wiadomość o zerwaniu stosunków polsko-sowieckich. Wydobyła z dna serca troskę o najbliższych, utwierdziła w nieufności, którą tak starannie leczyć było trzeba. I tyle cierpienia, tyle łez, tyle bólu już zdołano zapomnieć, ukryć, darować dla wspólnej sprawy wygrania wojny z Niemcami. I śmierć żony i zaginięcie dzieci, śmierć brata na Kolumbie i staruszkę matki w Kazachstanie. Ten cały ogromny ból ludzki, który narastać musiał każdą zsyłką, każdą śmiercią najbliższych, każdą nową krzywdą, niezrozumiałą dla tego, kto ich nie widział na własne oczy, kto nie słyszał na własne uszy, kto nie odczuł na własnym sponiewieranym ciele. Wybaczone, zapomniano, bo tego wymagała wspólna sprawa. A jednak okazał się tego niegodni, wykrzystalizował pierwszą okazję, by pokazać jakimi byli, że to było przejściowe, było chwilowe, było nieważne. I wtedy tamto znowu wyrasta groźne turmianie, nieobliczalna nudza, cierpieniem. Ale myśmy wszystko zrobili, myśmy światu udowodnili, że największą krzywdę zapomnieć możemy. Chyba o tym wszyscy wiedzą, tak jak my wiemy. Teraz czekać będziemy na sprawiedliwość, której obronici potrafimy i obronimy. Snują się dalej myśli żołnierskie serc, snują się w ślad za oczyma, błądzącymi po mieście namiotów, po ostrych liniach carriersów, stalowych lufach dział, zgrabnych zjadliwych cekaemach, skrzętnie codziennie opatrywanych, zawsze gotowych.

I idą dnie powszednie, każdy radosny innym wydarzeniem, dla żołnierza tak ważnym. Nowy sprzęt nadchodzi, budzi zaciekawienie nachylające się nad pakami i skrzyniami przez dalekie morza płynącymi, zawierającymi to wszystko co nauka i technika nowego wymyślić zdołała. Grube z pracy ręce pieczętowiec ustawiają, montują, próbują. I kiedy próba wychodzi składnie, kiedy pada pierwszy strzał z nowego działka, kiedy odzywa się szczególnie pierwsza seria z piostolatu automatycznego, kiedy nowy nadajnik amerykański, szczyt precyzji i nowoczesności, zaczyna gwizdać i pracować — radośniej śmieją się oczy żołnierskie, energiczniej pracują mięśnie i głowa.

Kwiaty, bociany i śnieg

Samochód pnie się lekko po weźwownicy asfaltu, rzuconego pośród żywej zieleni urwisk. W tyle pozostają wielkie cysterny, pozostaje miasto rozrzucone beładnie z wykrynikami ostrymi męczetów, pozostają bielące się, plamiste obozowiska. I nagle nowa kraina czarownej baśni. Morze zieleni mieniące się barwnymi ciepłymi kolorami, obrzeżone w dali stromą ścianą ostrą w zarysie skalnym — śniegu. To góry na granicy Persji, niknące masywem na granicy syryjsko-tureckiej. Śnieg w tym słońcu, w tym upale, w tym nagrzanym powietrzu lśni, skrzy się fioletem, tęcza odcieni niknących tam na północy w szkarłacie tonu żywego, gorącego wprost. Tę czerwienią na wschodzie często widać w barwnych makatach czy nakryciach, najczęściej we frendzlach używanych przez ujeżdżaczy spokojnych osiołków.

Asfalt spokojnie wije się pośród uprawnych zbożem pól. Fala kłosów srebrnych kołysze się, ugina dostojnie pod podmuchem idącym chłodem pośród tej skalnej ściany. Droga nabiera ostrego profilu, spada stromo w przelewy wiosennych przepustów w parowach lśniących potokami. Zieleni pól nabiera wszelkich odcieni od bladej, żółto-seledynowej pasteli, po zimną, silną tonację śnieży, osadzonej się w upalne południe u pustynnych wybrzeży Cyrenajki. Gdy mrużysz oczy, widok

jest dziwnie bliski, dziwnie nasz na tym górskim, pustynnym, irackim podgórzu. Drzewa są zielone, nie żrudziące. To morwy. I na tych drzewach ogromne gniazda układają sobie bociany, nasze bociany. Te, które widocznie nie wracają na lato do nas, bo tam inni są gospodarzami.

Erbile — Mossul

Miejscami przytulne, gładkie, miękkie wzgórza tworzą ogromne, kolorowe łąki. Jedne stoki płoną jaskrem złotym, inne krwawią czerwienią maków czy białą przymgloną pyłem małych stokrotek. Barwne chusty złote, czerwone, białe lśnią w słońcu, tryskają bogactwem, bujnością traw, które zachwycały kawalkadę Lawrence’a, gdy w lutym 1917 roku ajrzała w wiosnianie szacie pustyni arabską, tak jak ulgę i zachwyt siłą kontrastu niosła reszcie legionów Antoniusza, wkraczającym do Armenii, ściganym przez Partów.

W połowie drogi wyrasta zaporą, kasztel ze stromymi murami z wysokiego kopca. Na kształt średniowiecznego zamku. Wzrok daremnie szuka zwodzonych mostów. Dawne wykusze, strzelnice markują okna. Tę stromą ścianę wrosniętą w wzgórze tworzą mury starych domostw. To jedno z najstarszych miast Iraku — Erbile.

Samochód z trudem przebiega się przez zatłoczone ulice i wjeżdża w teren wyższy, bliższy skalnej, śnieżnej ściany. Ludność jest roślej, twardsza, o mocnym spojrzeniu. Posuwające się ścieżkami obok drogi kawalkady osła są barwne bogatymi strojami kobiecymi i charakterystyczne tym, że kobiety jeżdżą na osiołkach, a mężczyźni idą opodal. Jest tu już wielu Kurdów, względnie mieszańców, jest wielu Assyryjczyków i Chaldejczyków chrześcijańskiego wyznania. Kraj jest urodzajny, przestrzeni wiele niezamieszkałej. Samochód spływa z fałd zieleniejących wzgórz w obszernej dolinie z wartko płynącą rzeką.

I oto Mossul. Słynny Mossul, ulubiony temat rozważań wszystkich artykułów dziennikarskich przed wojną, jako pepek naftowy świata, ulubiony temat wojen, dyktator cen, kość niezgody rozmaitych kapitałów od amerykańskich począwszy a na francuskich skończywszy. Przysiadł się nad rzeką, przyleżał do wzgórz ciągnących się stąd aż tam, pod tę skalną ścianę. Ale samego skarbu nie widać. Ropę tutaj dobywa się bez tych nieodwrotnych akcesoriów, które przywykliśmy wiązać z każdym zagłębiem naftowym. Wieź wierniczych — tak charakterystycznych dla Drohobycza, czy zagłębia rumuńskiego — nie widać.

Pogotowie marszowe do Polski zarządzone!

W tych okolicach rozłożyła się miastem namiotów Dywizja Karpacka. Pośród zielonych pólnych dróg jadą jej bataliony ciągle ćwiczące, ciągle szkolone. Jadą carriersy. Staram się je liczyć, gubię się. Z chrzestem złowrogim suną stalowe, mocne, zgrabne długie, nieprzerwanym sznurem. W Tobruku w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich było tych carriersów trzy plutony. Chłopcy wciągali z lamusa starego żelazniaka, z „workshopów” nad portem jakieś lekkie czołgi włoskie, naprawiali je, dmuchali w motory zaoliwione i przepalone, czyszcili. Może o jeden wóz bojowy będzie więcej. Jaki to był triumf, kiedy drogą na Bardię udało się próbna jazda, motor nie nawalił więcej jak trzy razy. Nasze zamknięcie do mechaniki cuda działało. Kupę starych gruzów zamieniało w sprzęt użyteczny, motoryzowało Brygadę. A potem poszły na Gazale te nasze carriersy, poszły prowadzone sprawną, pewną ręką Nowobilskich, Staszewskich, Turskich, Dudzińskich. Nie wszystkie i nie wszyscy wrócili. Padli śmiercią bohaterów. Leżą na cmentarzu tobruckim. Żywi zamienili swoje stalowe wozy na samoloty i gdzieś pod niebem Anglii odbywają szkolne loty. Ale z tego posiewu rosną na irackiej pustyni długie szeregi bojowych wozów piechoty, zawsze groźnych dla nieprzyjaciela, jeżeli atakują z polskimi obsadami.

Dawna mała Brygada, w której wszyscy się ze sobą znali doskonale, dziś tworzy potężną jednostkę bojową, doskonale wyszkoloną, bitną i czekającą. Wsiadło w nią wielu przybyłych z Rosji, nabrało karpackiego animuszu, rozmachu, temperamentu. Jedyna chyba to jednostka, która tyle reorganizacji przeszła, tyle broni poznała, tyle zadań miała do wykonania. Syria, Palestyna, Egipt, Cyrenajka, pustynia iracka, gdzie dalej?

Wiosną 1941 roku nad jeziorem pod Aleksandrią, w kinie przyjmowano do Brygady nowoprzybyłych, szukano starannie kierowników. Był wielki problem: miała powstać Transportówka o kilkudziesięciu wozach. Dziś ona sama liczy nierównie więcej pojazdów motorowych. I to wszystko przeszkolono, kierowców wyuczone, zaprawione. Szkołą się specjaliści od broni, od motoru, od radia.

Żołnierz polski w zaścianku irackiej pustyni ciężko pracuje. Przy działach, przy motorach, przy czołgu, przy carriersie, przy celowniku cekaemu, czy przy słuchawkach radionadajników — szkoli, gotuje się, czeka. Zdala od wielkiej polityki świata, zdala od misternych gier dyplomatycznych w upalne dnie, chłodzone nocą wilgocią, odzyna po Rosji, chciwie słucha instruktorów, uczy się tapczywie.

Wieczorami, rosy pełnymi, płyną opowieści proste, żołnierskie, często wesołe, o tym jak biliśmy nieprzyjaciela. Młode serca gorączkowo się wsłuchują w tętno walki, chciwie wypytują, notując w pamięci, śniąc. Pogotowie marszowe w drogę powrotną do Polski już zarządzone!

ZYGMUNT KOTOWICZ

PRASA PODZIEMNA W POLSCE

Diennikarze polscy, którzy pracują w Kraju w prasie podziemnej, stoją na najcięższych posterunkach. Codziennie narazają życie, składają oni dowody, że dziennikarz potrafi być takim samym bohaterem, jak i żołnierz walczący na froncie. Nawet większym. Większym, nawet aniżeli żołnierz-spadochroniarz. Nie mają oni w swej walce żadnych możliwości odwrotu, a kleska nie daje szans przetrwania do końca wojny, chociażby z tak nieprzyjemnej roli, jaką jest rola jeńca wojennego, w tym wypadku — więźnia politycznego. Schwytany dziennikarz z prasy podziemnej nie jest skazywany przez sąd niemiecki na więzienie, jest poprostu mordowany przez Gestapo. Jeżeli śmierć nie następuje od razu, w redakcji czy drukarni, i gestapowcom uda się zdiennikarza przed rozstrzelaniem poddać go najwymyślniejszym torturom. Dziennikarz prasy podziemnej ginie bezimiennie. Nie mówię, o nim rozkazy dzienne, nie jest on dekorowany Krzyżem Walecznych przed frontem kompanii honorowej.

Niemieckie władze okupacyjne zaczęły swą akcję natchemiasz od prób odjęcia społeczeństwu polskiego od prawdziwej informacji o tym wszystkim, co się dzieje poza Polską, a nawet i w Polsce. Prasa polska została zamknięta. Jedynym dziennikiem wydawanym przez Niemców w Warszawie po polsku, jest „Nowy Kurier Warszawski”. Poza tym wychodzi na terenie okupowanej Polski jedynie prasa w języku niemieckim, czytana tylko przez Niemców. „Nowy Kurier Warszawski” jest bojkotowany przez społeczeństwo polskie. Polak, który odważył się wziąć do ręki ten dziennik, nazywany w języku potocznym „gadzinówka”, spotkałby się z pogardą rodziny, przyjaciół, znajomych i sąsiadów. Jednocześnie Gestapo przystąpiło do wytapiania polskich dziennikarzy i zsyłania ich do obozów koncentracyjnych.

Jednak pana Goebbelsa spotkało niepowodzenie. Niemal że nazajutrz po zamknięciu prasy polskiej ukazały się polskie pisma nielegalne. I od tego czasu już stale wychodzi podziemna prasa polska, aczkolwiek panowie Goebbels i Himmler na głowie stają w swych wysiłkach zdławienia tego naprawdę wolnego głosu Narodu Polskiego.

Przyszli historycy, opisujący dzieje prasy podziemnej w Europie, będzie musiał oddać hołd nadludzkiemu wysiłkowi dziennikarzy polskich pod okupacją niemiecką. Bo aby dokonać tego, czego dokonano w Polsce, nie wystarczy talent i rutyna dziennikarska, ale potrzebne są w równej mierze: umiejętność przewidywania, wynalazczość i spryt, połączone z wielką odwagą i poświęceniem, z przetrzeźwioną i zimną krwią. A wszystko to jest uduchowione wielką miłością wolności i własnej Ojczyzny. Dlatego też dziennikarz w Polsce stał się nie tylko usobieniem obowiązkowości, ale i bezkompromisowości w walce z wrogiem.

Dziennikarze polscy przewidzieli, iż w obecnej totalnej wojnie pan Goebbels, który zgłuszczałował własną prasę niemiecką, tym bardziej nie pozwoli na istnienie prasy polskiej, któryby chociaż najskromniej odzwierciedlała dążenia narodowe Polaków. To też w momencie, gdy z pod prasy wyszedł ostatni numer ostatniego legalnego dziennika polskiego, go do dyspozycji ukrywających się dziennikarzy polskich były znowu schowane małe drukarnie, kasety z czołownikami, papier i farba drukarska. Dziennikarze, zasygnalizowali się pod przybranymi nazwiskami na podstawie fałszywych dokumentów, lub ukrywając się po strychach i piwnicach, czy innych zakamarkach, podjęli swoją niebezpieczną pracę. Na terenie całej okupowanej Polski ukazały się liczne pisma, które czytelnik polski znajdował w kinach, w wagonach kolejowych, na warsztatach fabrycznych, na biurkach urzędników, a nawet w publicznych ubikacjach. Wszędzie. Kto nie dostał pisma do ręki, o jego treści dowiadywał się od kogoś z rodziny, od przyjaciela, często bardzo od nieznanego przechodnia.

„Gen. Sikorski tworzył rząd w Paryżu”. „Organizuje się nowa Armia Polska”. „Polscy piloci bombardują Niemcy”. „Erygada Podhalańska wróciła do zdobycia Narwiku”.

„Niemiecki pancernik Bismarck został wytopiony przez polskie kontroptowce”.

„Erygada Karpacka broni Tatrów”.

„W Rosji powstaje nowa Armia Polska”.

Oto wiadomości, przynieszone szybko przez podziemną prasę polską, wiadomości, które w rok rozchodzą się wśród społeczeństwa polskiego. A jednocześnie prasa podziemna ostrzegała Niemców: „Nie szukajcie polskiego Quislinga, bo nie znajdziecie! Zaden Polak nie zostanie zdradcą”.

„Każda zbrodnia niemiecka jest rejestrowana. Pamiętajcie, iż dzień odwetu nadejdzie i zemsta nasza będzie straszna”.

Gestapo podjęło nieubagąną walkę z podziemną prasą polską. Arestowano każdego podejrzanego, wymyślnym torturom poddawano nawet kobiety i dzieci, lecz wszystkie niemieckie wysiłki nie dawały upragnionych przez Goebbelsa rezultatów. Bo oto starym zwo-

dowym dziennikarzem szła w sukurs rzesa bezimienna ludzi, których w warunkach normalnych nazywalibymy adeptami zawodu dziennikarskiego. Ale w tych warunkach młodzi dziennikarze często musieli przystępować od razu do pracy samodzielnej, pozabawieni nauki i kierownictwa starszych, rutynowanych koleków.

Pod łózkami, na strychach, w jamach wykopanych na podwórkach siedzieli chłopcy, słuchający komunikatów radiowych z Londynu. Nocami uszytane wiadomości są przepisywane na maszynach, powielane na powielaczach. W dzień mali chłopcy i dziewczęta kolportują je wśród ludności. Kraj zalewa powódź nielegalnych pism, wydawanych częstokroć z własnej inicjatywy przez osoby nie związane z nikim organizacyjnie, a których głównym celem jest informowanie narodu. Kto tylko miał radiodłobniornik, maszynę do pisania, powielacz, już drukował na skrawkach papieru wiadomości, już wzywał do walki z okupantami.

Gestapo szaleje. Konfiskuje wszystkie znajdujące się w prywatnym posiadaniu radiodłobniorniki, powielacze, maszyny do pisania. Nic nie pomaga. Z biur giny maszyny, z magazynów niemieckich znika w tajemniczy sposób papier, domorosli technicy konstruują nowe radiodłobniorniki. Prasa podziemna nadal wychodzi.

Niżej przytoczony przykład, zaczerpnięty z opowiadania jednego z dziennikarzy, jakie ukazało się na łamach jednego z pism nielegalnych, ilustruje wymownie ogrom niebezpieczeństwa, związanego z pracą w tajnej prasie.

„W czwartek popołudniu przyszedł do mnie kol. M. i zaskomunikował, że Gestapo schwytało Wdaka w czasie kolportowania naszej gazety. Dwunastoletni chłopak pomimo nieludzkiego skotawienia nie przyniósł się, od kogo otrzymał gazetę, ale agentom Gestapo udało się ustalić jego tożsamość. Całą jego rodzinę aresztowano i zachodzi obawa, iż Niemcy wpadną na trop naszej redakcji. Wytworzyła się niepokojąca sytuacja. Trzeba było zastanowić się, co zrobić. Nadszedł kol. R. Wstychawczy relacji o zaszych wypadkach, zdecydować, że pomimo to musimy zaryzykować i przystąpić do pracy nad następnym numerem pisma, gdyż właśnie otrzymać komunikat radiowy o wynikach podróży gen. Sikorskiego do Ameryki i wiadomości, że musi być jak najszybciej rozkolportowana wśród ludności.

O godzinie 7-tej wieczorem zebraliśmy się w naszej drukarni. Na miejscu uprzedzieliliśmy lojalnie kol. F., 60-letniego drukarza, o groźnym tym nam niebezpieczeństwie. Kol. F. mrknął tylko: „I tak kiedyś powiesz. Lepse to niż chować się w domu i umierać w łóżku”. Zanim rozpoczęliśmy pracę, sprawdziliśmy broń. Wszyscy czterej mieliśmy doskonale polskie pistolety bojowe „Wis” oraz 6 granatów ręcznych. Przystąpiliśmy do składania numeru.

O godz. 10.30, kiedy kończyliśmy już druk, zastukano głośno do bramy. Spostrzeliliśmy po sobie. Nie uległo wątpliwości, że o tej porze do bramy mogli stuknąć tylko gestapowcy. Kol. R., nasz komendant bojowy, zaczął przyciszonym głosem wydawać rozkazy:

„Pakować jak największą ilość egzemplarzy gazety do kieszeni.

Kol. F. idzie otwierać bramę. Otwierając, zasłoni się skrzydłem bramy.

Każdy weźmie do ręki po jednym granacie. Dwa pozostałe rzucić w momencie otwarcia bramy.

Po wybuchu granatów wszyscy jednocześnie wybiegniemy na ulicę, strzelając przed siebie z pistoletów. Kol. F. pobiegnie na prawo jedną stroną ulicy, kolega M. drugą stroną ulicy. Kolega L. i ja pobiegniemy po obu stronach ulicy na lewo.

Wybiegamy na ulicę, każdy rzucił poza siebie granat. Następnie uciekać — ostrzeliwując się. Wyznaczam zbiórkę jutro o 7-tej wieczorem w miejscowości X. pod Warszawą”.

Dalsze wypadki potoczyły się według planu kol. R. Skrzypnęła brama, w której rozległy się przekleństwa niemieckie i tupot butów gestapowców. Nastąpił jeden po drugim dawa wybuchu granatów. Wśród jęków i przekleństw pobiegłem naprzód, strzelając przed siebie z pistoletu. Na ulicy uszytym dalsze wybuch granatów. Odrzuciłem się i rzuciłem za siebie również i moją granat. Skacząc przez płoty i skracając w bocne uliczki, szybko zgubiłem za sobą niemiecką pogoń. Na drugi dzień przybyłem na umówione miejsce spotkania. Nikt więcej z pozostałych koleków nie zjawił się. Zrozumiałem, co się stało. Tegoż jeszcze wieczoru dowiedziałem się, że wszyscy trzej padli zastrzelani na ulicach. Nikt żywym nie oddał się w ręce niemieckie. W trzy dni później zacząłem pracę w nowej redakcji, z nowymi kolegami. Przedtem rozdałem ostatnie numery naszego pisma, wyniesione ze zdekonspirowanej drukarni.

Sprawozdanie z podróży gen. Sikorskiego do Ameryki zostało rozkolportowane”.

Poza tym prasa podziemna musi pokonywać poważne trudności natury finansowej. Można sobie wyobrazić, jakie są te trudności, gdy czyta się np. w jakimś piśmie: „Nie zapominać, że nasza prasa zdana jest wyłącznie na dobrowolne ofiary”, lub gdy na ostatniej stronie pisma znajduje się listę ofiarodawców: „Od mściela”, „Od niecierpliwego”, „Od

upartego”, „Od śmiałego” i t.d. — tyle a tyle złotych. Inni ofiarodawcy nie używają żadnych pseudonimów, lecz przeznaczają swe datki na jakikolwiek specjalny cel lub ku ucieczeniu rodziny — również i ofiary w naturze. Często zdarzają się również i ofiary w naturze. I tak np., jakiś ofiarodawca chce pomóc redakcji tajnego pisma i ofiarowuje 40 arkuszy papieru. Inni ofiarowują ołówki, gumy, atrament i inne, coraz trudniejsze do zdobycia artykuły. Wrzucające są następujące ofiary: 2 chleby, 4 jaja, 350 gramów kiełbas, 160 gramów masła, 15 koteletów, 20 papierosów i t.d.

Poza tym godny wzmianki jest jeszcze inny rodzaj ofiar. Czytamy np.: „40 złotych od..... na kolację dla redaktorów i drukarzy” lub, zamiast moich kolacji” lub „zamiast 10 niejedzonych obiadów”.

W ten sposób Naród Polski pomaga swej prasie.

Obecnie w okupowanej Polsce, wśród powodzi różnych nielegalnych wydawnictw, często robionych w sposób, który moglibyśmy określić jako amatorski — regularnie wychodzi 70 — 80 pism. Wśród tych pism są dzienniki, niektóre z nich mają nawet wydawnictwo popołudniowe, przynoszące najświeższe wiadomości: są to tak zwane „komunikaty z dnia”. Dalej ukazują się tygodniki i miesięczniki. Większość wydawnictw to tygodniki. Niektóre z tych pism wychodzą, a są nielegalne, konspiracyjną prasę, w bardzo dużych nakładach, co sięgających 20.000 egzemplarzy.

Charakteryzując podziemną prasę w Polsce, należy przede wszystkim podkreślić bardzo znamienne zjawisko, a mianowicie jej strukturę, która odpowiada strukturze prasy w państwach demokratycznych. W warunkach nielegalnej, konspiracyjnej prasy, w kraju całkowicie okupowanym przez wroga, zjawisko to zasługuje na szczególną uwagę.

A więc na ziemiach Polski ukazują się następujące kategorie pism:

1) pisma, które są organami Rządu Polskiego w Londynie;

2) pisma, które są organami stronnictw politycznych;

3) pisma o charakterze wyłącznie informacyjnym.

Poza tym ukazują się pisma poświęcone poszczególnym problemom, jak np. problemom

więksim, młodzieżowym, religijnym, wojskowemu, konfederacji narodów i t. p. Wychodzi również trochę pism humorystycznych, ośmieszających okupantów. Ukazują się nawet pisma literackie.

Jeszcze stosunkowo niedawno mieliśmy wiadomości, iż pojawiały się w Polsce nielegalne pisma, wydawane w języku żydowskim.

Cała ta prasa podziemna spełnia bardzo

doniosłą rolę:

1) informuje społeczeństwo polskie o tym, co się dzieje w Kraju i poza jego granicami;

2) wyraża poglądy, nastroje i opinie, nurtujące społeczeństwo;

3) mobilizuje społeczeństwo do walki cywilnej z okupantem, drogą przekazywania

do ogólnej wiadomości odczew, rozkazów, zarządzeń i t. p.;

4) instruuje społeczeństwo polskie, jak tę walkę prowadzić;

5) szkoli nowe kadry działaczy organizacyjnych, politycznych, a nawet kadry dowódców wojskowych, drukujące potrzebny materiał do kształcenia się;

6) jest dla nas jedynym z głównych źródeł informacji o wydarzeniach w okupowanej Polsce.

Pisma podziemne skupiają w charakterze współpracowników wybitnych, ukrywających się w Polsce przywódców politycznych, publicznych, prawników, działaczy społecznych i ludzi nauki. Stawiają oni te pisma na bardzo wysokim poziomie.

Oczywiście, ta walka prasy podziemnej stanowi dla Niemców poważne niebezpieczeństwo, zwłaszcza jeżeli się zważy, iż terytorium Państwa Polskiego jest zaplecem armii niemieckiej, walczącej na froncie wschodnim.

Dla przykładu odczytam tekst instrukcji, ogłoszonej przez tajne pisma w Polsce. Instrukcja ta jest skierowana do Polaków, mobilizowanych do armii niemieckiej, i brzmi w sposób następujący:

„W koszarach czy w obozie ćwiczebnym należy szczerzy niewiarę we wrogich szeregach, obalać nadzieje na zwycięstwo Niemiec, otwierać oczy na okropności hitlerizmu, mącić ducha, rzucać śmiała rozkazy. Gdzie można, należy pisać sprzet wojenny i uprawiać wewnętrzny sabotaż. Na froncie należy pamiętać, że żadna kula Polaka nie może poświeć w stronę wrogów Niemiec, bo we własną trafia ojczyznę. A gdy się strzela w niebo — niszczą się przynajmniej wrogi amunicje. Jeśli się jednak uda w skrytości strzelić w plecy Niemca, kula nie będzie zmarwnowana. W razie nadarzającej się sposobności, powinien żołnierz taki zdezertować”.

Gdy Niemcy rozpoczęli w Polsce masową rzęć Żydów, cała prasa podziemna głośno zaprzestowała, piktując niemieckich zbrodniarzy. Oto jeden z przykładów licznych odczew, które ukazywały się i ukazują w Polsce. Przypatrzam odczewę wydrukowaną w organie katolickim:

„Świat patrzy na te zbrodnie, straszliwsze niż wszystko, co widziały dzieje — i milczy. Rzęć milionów bezbronnym ludzi dokonują się wśród powszechnego, złowrogu milczenia. Milczą klery, nie chcą się tym, co czynią.

Tego milczenia dłużej tolerować nie można. Jakiekolwiek są jego pobudki, jest to niekczemne. Wobec zbrodni nie wolno pozostać biernym. Kto milczy w obliczu mordu — staje się współwinikiem mordercy. Kto nie potępia — ten przyzwala.

Zabieramy przeto głos my, katolicy — Polacy. Protestujemy z głębi serca przejętego litoscią, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg, — Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota zwąca się człowiekiem ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych wola o pomście do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera — nie jest katolikiem”.

Zabieramy przeto głos my, katolicy — Polacy. Protestujemy z głębi serca przejętego litoscią, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg, — Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota zwąca się człowiekiem ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych wola o pomście do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera — nie jest katolikiem”.

ZDZISŁAW BRONCEL

SONETY URALSKIE

I

Ural

W mapie zielonych dolin o bładych konturach
Leży brunatną wstęgą — krawędź Europy.
O którą kontynenty wsparły swoje stopy.
Wdeptując miedź i węgiel w złotodajny Ural.

Nazwa, w której charczące azjatyckie „ura”
Okrywa Donbasa ciernię, kędy strumień ropy
Tryska z ludzkiej gangreny i kędy jak snopy
Pospołu las i człowiek upadają w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

Tu burza wichrem ognia drzew głowie smała,
Niskie słońce półmocy, rozdzierane pałem
Na ostrzu wyschłej sosny, pod niebem ze stali
Kłóci się w powietrzu, w górah.

MIASTA — ETAPY

Najpierw był Lwów.

Pełen kurzu i popłochu suchych dróg, gorącego słońca i krwawych odbłasków na rozdzielonych od huku szybach, roztrzęsionych rykiem alarmów i seriami maszynek po murach, otoczony lotnymi bateriami i szarżującymi, przysadzistymi czołgami. Pamiętam krótkie sznurki zielonkawych drużyn piechoty, przeciągnięte ulicą Sapiehy do Dworca Głównego i jakby nieruchome, o niesymetrycznie zbitych ramionach krzyżki malutkich bombowców na wyblakłym od żaru niebie. Pamiętam ogniste kule rac-granatów nad śmieszonymi barykadami z kamieni brukowych, które umiały zatrzymywać czołgi, i złociste deszcze rozpalonych odłamków, dzwoniących w rynnach i syczących w płasku koło schronów pod schodami. Pamiętam wieczną błękitną czerwień dnia, rzuconą szeroko przez płonącą spirytusem fabrykę Baczewskiego. Potem była cisza rozejmu, przez której niepokój przeleciał samolot ze śmiesznie zadartym ogonem i sygną białymi kartkami z dziwną nowością: „Do bratnich narodów Zachodniej Ukrainy!” I od Kaizerwaldu pośpiesznie wsunęły się małe, rozsypane roje żołnierzy z długimi pikami bagnetów, zwróconymi z podejrzeniem ku zamkniętym oknom, i czarnymi jarami granatów w przegiętych do rzutu dłoniach. Pamiętam później na Łyczakowie ociekałe czołgi, kręcące wieżyczkami z zadartymi w górę, obłymi, smukłymi lufami działek. I kolumny mongolskich, ospowatych twarzą na jakby skróconych konikach i szerokie szable bez gard w czarnych pochwach z mosiężnymi okuciami.

Pamiętam nowości niedopasowane do miasta. Na Wałach Hetmańskich Sobieski galo-pował jak wódz na defiladzie pośrodku szpaleru białych, gipsowych, allegorycznych postaci, wśród pęków czerwonych sztandarów i herbów socjalistycznych republik. Ze wszystkich większych domów na ulicy Legionów patrzyło na niego płocienne Politbiuro o jaskrawych kolorach wodnych farb popłukiwanych deszczami. A on został taki sam szary jak Kiliński w Parku Stryjskim, obojętny wobec czerwonych wstęp wieńca u swych stóp i materializmu dziejowego.

Pamiętam ciągle, strachliwe wyczekiwanie zmian, życie z dnia na dzień, gwałtowny przewrót norm codziennych warunków i przeświadczenie, że to, co jest, jest przemijające. Pamiętam później bezwład miłości po parkach, przepłataną stosami burzliwych książek, i prostotę bezwstydu w małym, ciemnym pokoiku z oknami na podwórce, gdzie oddanie przychodziło po ekonomiczno-socjalno-politycznej dyskusji.

Potem były żagry, a w nich tęsknota...

Potem...

Melodia wynikała z ciemności ulicy. Ciemność miała głębię. Melodia nie szła ani od bazaru na końcu ulicy Taszkienkiej, ani z dziedzińca między trzema otwartymi absydami mahometańskiego kolegium duchownego. Może szła z góry, z któregoś domku, gdzie okna dopiero pierwszego piętra wychodziły na ulicę, może z któregoś podwórka w zaułku, gdzie wszystkie drzwi domów były zielone. Miała w sobie chaos potrzęsanych, brzękliwych tamburynów, opadających i wznoszących się z naciskiem, urywany, głuchy, niepokojący, głęboko dudniący łoskot bębna, słodki, łaskotliwy, niski, przejmujący, płynny głos oboju, rozdręganą, tiumioną strunę nad pękającym pudłem o długim szczudle rękojeści. Miała w sobie napięte, zmysłowe skupienie, podniecone wyczekiwanie. Drażniła umiętnym wyciszaniem — odpreżaniem dla łaknącego ciała, rozdętych nozdrzy i przeciagających się przegubów — i nagłym wybuchem nateżonych do rozkoszy dźwięków. Może szła ze mnie także. Cała ciemność przepojona była tą melodią. Pozostawała poza nienasyconą świadomością, wprawiała w pobudliwie pożądanie, w rozleniwione, mocne pragnienie. Potem wybuchał wysokim, zawodzeniem drgający głos i drażniący przesuwający się w obrębie tych samych kilku tonów. Kto śpiewał? Było ciemno. Przez cały Ramadan, miesiąc wielkiego postu za dnia i rozpętania w nocy, ciemność rozbrzmiewała tą samą melodią.

Ulice mają tam dziwne, świegotliwe nazwy. Dag-bit, Ju-tuk, Kzył-Jukdusz, Beszent, Suzan Garan, Ittifak i Labigor. Kręte zaułki, przejścia, przesmyki nie kończą się, uchodzą jedne w drugie. Czasem urywają się przy prostokątnym zbiorniku wody, obmurowanym oślizgłymi kamieniami, czasem na ścianie z arabskim napisem, czasem na kilku drewnianych słupach podtrzymujących strop o barwach tak świeżych, jak w iluminowanych rękopisach. Soczysta, mieniąca się nateżeniem koloru purpura tła, głęboka ultramaryna kwiatów, mocna zieleń powykręcanych zmysłowo jak u Wyspiańskiego łydełek i liści i srebrną obrzeżenie wzorów. Rozszerzone zakroploną atropiną źrenice wyczarowują na każdym kancie szeroki, chłodno-błękitny pas z żółtymi trójkątami promieni. Skala tonów na zachodzie jest dla mnie w tej chwili większa dwa razy niż normalnie. Z lepianki wychodzi Uzbekka w fioletowych, żółtych i zielonych, naszywanych mieniącymi się cekinami, aksamitnych częściach ubrania i staje w rozkrwawionym słońcu. Cała postać obrzeżona na niebiesko. Takie są cuda w Samarkandzie.

Samarkandę przyniatają góry. Wałę się na miasto z trzech stron. Tylko północna wola jest od niekończących się łańcuchów, gdzie w każdą przerwę między dwoma wierzchoł-

kami wchodzi trzeci szczyt. I tak coraz wyżej, wyżej, piętrzą się bliskie przezroczystością powietrza wilgotnego masywy, zwrócone frontem do miasta w kotlinie, pochylone, zwisające nad nim stożkowatymi bryłami. Kiedy się patrzy na nie, prędko podchodzą i grożą zasypaniem w surowo błyszczącym śniegu i pochłonięciem przez czarne, tyse, ponure zbocza. Gdyby stać dłużej i czekać, to napewno zwał się i przysięgnął. Lepiej nie. Uzbeki nie patrzą na góry. Nie prowokują. Lepiej wejść między katakumby. Tam przynajmniej kopulaste, bruchate dachy zastaniają grożące runięciem bloki.

Tam było dobrze i cicho między trzema kolorami majolik: białym, czarnym i niebieskim. Na szarym rumowisku potrzaskanych odłamków można było siedzieć w słońcu i obracać kawałek kamienia w ręce. Z którego boku zaczynają iść litery? Jakiś grób wyłożony darnią z dwiema balustradkami na prostopadłością służył za wygodny fotel do zastanawiania się. Skoczyć między dwa wysokie mury pod wejściem do okrągłego budynku z bladoniebieską kopułą w kształcie piersi kobiecej?

W środku były szerokie stopnie z różowego, wygładzonego granitu i pełno mchu na stykach płyt. Z całego szczeliniastego muru wyrastały kępki trawy. Nad czarnym wejściem wisiał obulowany kamień wśród żółtej gliny. Wejść? Nie. Spód okucia narciarzskich butów opartych o mur wylatuje jedna płytka i pęka na schodach w kawałki. Sypią się z szelestem bryły ziemi, w murze świeże, duże wgłębienie. Jeszcze jeden podpór na rękach z wysiłkiem, i leże w marcowej trawie. Góry oddaliły się.

Potem był Teheran. Przeładowany tandetnym luksusem, krzyżącą elegancją przesadnych ubiorów. Ze wspaniałymi autami na asfaltowych ulicach i dorożkami, z okropnie ubranymi i malowanymi kobietami o długich, barwionych włosach i krzywych, cienkich nogach.

Potem była Jerozolima w kamieniu wy-ciosana. A teraz jest Tel-Aviv, miasto na piaskach zbudowane.

I czekam na ostatni etap. Na renesansowe bramy na ulicy Kanoniczej, na rozety krużganków Biblioteki Jagiellońskiej, na wysokie lampy Alei Trzech Wieszczów, na nową perspektywę Karmelickiej z mojego balkonu oświetlonego mleczną kulą. Będzie można sięść na Plantach koło „łabedzi” i zbierać wrażenia. Jazdę przez płonącą Ukrainę, czerwony Gród Czerwieniski, pracę w lesie na bagnach po dwutygodniowej jeździe w zabitym wagonie, dzwonki śmierdzących, rozczapanych wielbłądów nad ranem w Samarkandzie, morze Kaspijskie, oszalałe przełomy rzek w Iranie, Teheran, jazdę ciężarówką przez niekończące się pasma gór perskich, i dziki zjazd z ostatniego z nich do Iraku, Bagdad, dwa tygodnie w pustyni z parzącym hamsinem, zimne noce w Transjordanii i Emek Izrael pionierów. Tak, czekam na ostatni etap.

Jerzy Minder

LECH PIWOWAR *)

ŻOŁNIERZ, KTÓRY KLĘCZY

Gwiazdy, gwiazdy — wzgarda i łaska!

Oto jest niebo, sina koszula żołnierzy, obce sercu, wrogie głowie, dalekie ciału, rozdarte w bombowych blaskach — widziałem, jak okrywał się nim, nieokryty chwałą, żołnierz, który nie wierzył.

Szrapnele w lasach rozdzierają w strzępy jesień, w polu tropi zające samolot myśliwski. Jest to pejzaż pogardy dla człowieka, więc niema tu ludzi, ja jestem tylko drzewem w nocnym lesie i rozsypany suche złoto liści na kompanię, co śpi — aby Bóg jej nie budził.

Lecz świt wszystkie objawia drogi — i tym, którzy we śnie drżą w objęciach żon, i tym, co pamiętają sakralne gesty papieża, i tym, których ściga woda lub ogień, i tym, co jadą na okrętach zalanych mgłą — wszystkim we śnie wszystko było naścielą.

I samolot w te sny wbił swój warkot!

Kto widział zabite miasta, tego zabity sen nie trwoży, lecz kompania, wybita z cienia, mrugała oczyma jak ślepe dziecko. Powiniennem to na zawsze zostawić pod powieką martwą, zakryć milczącym i zabójczym nożem — wszyscyśmy wtedy ujrzeli strach uderzający zdradziecko.

Oficer jak Mojżesz prowadzi w morze ognia, tak głębokie jak wysoko do nieba, tak szerokie jak horyzont, który kompanię okrąża. Boże łagodny! Boże mleka i chleba! Oto litania, której nikt pomyśleć nie zdążył.

A w środku tego morza, szara muszla bólu, wśród kompanii, która przyrastała do zielonych brzd, jest żołnierz, co klęczy i wyciąga ręce. Krzyczy jego ciało, on najzarliwiej do ziemi się tuli. Nie wiem jakie słowo wyjąć mu z czarnych ust! Ja jestem drzewo i zamilkam w męce.

20.XI.1939.

*) Lech Piwowar brał udział w kampanii wrześniowej, jako oficer piechoty. Wiersz, który zamieszczamy w tym numerze, powstał w obozie jeńców w Starobelsku. Przepisany na bibułę od papierosów, został on dowiedziony tutaj przez jednego z ocalałych towarzyszy autora, który sam się nie odnalazł.

André Glarner jest dziennikarzem francuskim i prezesem Związku Korespondentów Wojennych w Kairze. Przez 25 lat był współpracownikiem paryskiego „Excelsioru”, zaś podczas wojny obecnej — korespondentem agencji „Exchange Telegraph”. Książka jego „De Montmartre à Tripoli”, wydana niedawno w Kairze, w kolekcji „Pingwin”, opisuje rozmaite wydarzenia wojenne na przestrzeni lat 1939-1942, których autor był naocznym świadkiem. Glarner widział dużo. Był podczas bitwy o Francję w r. 1940 i podczas bitwy o Londyn w jesieni tegoż roku. oglądał zdobycie Tobruku i zniszczenie armii włoskiej marszałka Grazianiego. Brał udział w kampanii w Erytrei i Abisynii, a następnie w ewakuacji Grecji i Krety. Był w Syrii podczas walk, zakończonych odebraniem tego kraju wojskom Vichy. Przeszedł w Tobruku oblężenie twierdzy przez armię Rommla. Był świadkiem El Alameinu. Doprowadził swą książkę do chwili zdobycia Tripolisu przez zwycięską VIII armię brytyjską.

Ta cała epopeja, rozgrywająca się głównie na Wschodzie, jest tematem interesującej, po dziennikarsku pisanej książki Glarnera. Ale w poprzedzającym książkę wstępie autor omawia też pokrótce stan wewnętrzny Francji w latach poprzedzających wojnę i później, aż do chwili kapitulacji w Bordeaux.

Glarner porusza ten temat tylko bardzo pobieżnie, jakby mimochodem. Kilka stronice wstępu wystarcza mu jednak najzupełniej, aby dać przeobrażający w swej grozie obraz upadku Francji przedwojennej. M.in. opowiada on bardzo ciekawą historię, która dowodzi, do jakiego stopnia skorumpowana była wielka prasa francuska. Jak już wspomnieliśmy, Glarner był wieloletnim współpracownikiem paryskiego dziennika „Excelsior”. Podczas wojny włosko-abisynijskiej, w momencie gdy Liga Narodów dyskutowała kwestię sankcji przeciw Włochom, Glarner, jako wysłannik swego pisma, udał się do Genewy na sesję Ligi. Gdy dyskusja nad sankcjami osiągnęła punkt kulminacyjny, wysłał on do „Excelsioru” długie sprawozdanie telegraficzne o debatach, poprzedzone kilkudziesięciowierszowym wstępem wprowadzającym. Jakież było jego zdumienie, gdy wzięwszy nazajutrz swój dziennik do ręki, zauważył że wstęp do depeszy został zdeformowany, a zamiast samego sprawozdania, figurował komunikat ambasady włoskiej w Paryżu. Czołosek podpisana była jego pseudonimem.

Zatelefonowawszy natychmiast do redakcji, usłyszał w odpowiedzi na swe protesty, że „zmiana tego rodzaju narzuca dziennikowi w ostatniej chwili jego właściciela”, oczywiście przekupiona przez Włochów. Wypadek ten spowodował najprzód opuszczenie przez Glarnera działu politycznego „Excelsioru”, później zaś — jego definitywne wystąpienie z redakcji. Świadectwo Glarnera o tym, że obrzuciła większość prasy francuskiej, była poprostu kupiona przez czynniki zagraniczne, nie jest odosobnione.

Podczas drugiej swej bytności w Tobruku Glarner zetknął się z naszą Brygadą Karpacką. Poświęca on naszym żołnierzom bardzo ciepłe słowa: „Gdy przybyłem znowu po paru miesiącach (do Tobruku), wszyscy zachwycali się nowymi przybyściami, którymi byli nasi przyjaciele Polacy. Stanowili oni od pewnego czasu część heroicznej garnizonu. Widziałem tych wspaniałych żołnierzy, którzy przybyli na pustynną ziemię afrykańską, zdala od swego kraju, aby bić się o ideał, ważniejszy niż życie, mocniejszy niż śmierć. Jeden

z ich dowódców, wspaniały typ żołnierza, weteran kampanii polskiej, który zdołał wydostać się z kraju i poprzez Rumunię, która nie zdradziła jeszcze wówczas, przybył tutaj, opowiadał mi o swych żołnierzach wzruszającymi słowami. Przybyli oni bić się obok swych angielskich towarzyszy — rzekł mi — nie tylko po to, aby oswobodzić swój kraj, lecz przede wszystkim dlatego, aby przywrócić w Europie wolność człowieka. Ci ludzie utracili wszystko: dobrą doczesną i ojczyznę... Od upadku Warszawy błędą oni po szerokim świecie, zagubieni i wyczerpani, lecz silni swą wspaniałą wiarą. Wiedzą, że tam, w ich miastach i wsiach, rodacy ich, którzy walczą bez wytchnienia przeciw najeźdźcy, są dumni z nich i czekają na wyzwolenie. Chcą wierzyć, że ich najbliżsi są przy życiu, lecz lęk gniewi się w ich sercach, gdyż wiedzą, do czego zdolni są zwycięscy barbarzyńcy. Ale wiadomości, jakie otrzymują stamtąd, choćby najbardziej lakoniczne, dodają im jednak odwagi: oznajmiają im one przecież, że tamci w kraju trzymają się...”

„Polacy, pełni fanatycznej nienawiści do Niemców i lekceważący najzupełniej Włochów, są żołnierzami, których nie nie powstrzyma... Słucham w religijnym skupieniu i podczas gdy mówię, pojawia się przed mymi oczyma mały omentarzyk przy drodze, wiodącej do Bardii. Brama wiejsiowa tego omentarzyka strzeżona jest przez wieżyczkę 15-metrowej wysokości, z krzyżem. Pełno na nim grobów, małych i dużych pagórków z ziemi, ozdobionych niekiedy dachówkami, znalezionymi wśród ruin Tobruku i przykrytych kamieniami pustyni. Każdy grób posiada nazwisko, numer pułku i datę, wyrzniętą na skromnym krzyżu. Nazwiska są angielskie, irlandzkie, szkockie, australijskie, nowozelandzkie, hinduskie i francuskie. Ostatnie krzyże zdobne są w orły polskie i stanowią daninę tych, którzy z sercami, pełnymi miłości, przybyli na tę ziemię afrykańską po utracie ojczyzny, lecz pełni nadziei, przybyli, aby pomóc w powaleniu raz na zawsze germańskiego potwora...”

To, co Glarner omawia całkiem pobieżnie na kilku stronicach wstępu do swej książki, stanowi wyjątkowy temat kilkuset stronice wielkiego dzieła Elie Bois, „Le malheur de la France”, wydanego w Londynie.

Elie Bois był przez długie lata naczelnym redaktorem największego (obok „Paris-Soir”) dziennika francuskiego, „Le Petit Parisien”, stanowiącego własność multimilionera Piotra Dupuy i będącego, zwłaszcza w ostatnich latach przed wojną, bardzo bliskim paryskiemu Quai d'Orsay. To też jest wyjątkowo dobrze poinformowany.

Książka Bois jest jednym wielkim oskarżeniem przeciw Francji z lat 1925-1940. Obraz tej Francji, jaką daje Bois w swym studium, jest wręcz przerażający. Nie ma prawie plam jasnych na tym jednolicie czarnym tle. Skorumpowane, zgnieło było tam prawie wszystko, od góry do dołu.

Jeśli z książki Glarnera dowiedzieliśmy się pikantnych szczegółów o kulisach „Excelsioru”, to książka Bois zapoznaje nas z tajemnicami rodziny Dupuy, właścicieli „Le Petit Parisien”. Bois daje nam szczegółową relację ze swej długotrwałej walki z p. Dupuy, który już podczas wojny ulegał w coraz silniejszym stopniu wpływom hitlerowskim, aż wreszcie poszedł całkowicie na służbę współpracy z Niemcami. Tak samo jak on postąpili zresztą wszyscy prawie potentaci prasy francuskiej.

Książka Bois daje nam dokładny opis zgubnej rywalizacji i antagonizmów między Daladierem i Reynauld, które zajmowały tym dwu zdolnym skądinąd mężom stanu lwią część ich czasu i energii. Daje nam obraz całkowitego załamania się psychicznego Daladiera i katastrofalnych następstw, jakie stąd wynikły. Obszernie zanalizowana jest złowróżbna rola pani de Portes, przyjaciółki premiera Reynaulda, w tragedii francuskiej 1940 r. Okazuje się, że Francją rządził w owych najkrzytyczniejszych chwilach jej dziejów właściwie nie tyle jej premier, Reynauld, ile raczej przyjaciółka jego, pani de Portes, o której jeden z wybitnych dziennikarzy francuskich napisał, że kosztowała Francję dziesięć razy więcej, niż wszystkie Dabarry i Pompadour, razem wzięte. Ona spowodowała dymisję filoangielskiego podsekretarza stanu Quai d'Orsay, Alexis Legera. Ona przeprowadziła nominację na ministra spraw zagranicznych znanego notorycznie germanofila i wielbiciela Hitlera, jakim był Beaudoin, ona wreszcie namówiła Reynaulda do porzucenia zamiaru kontynuacji walki przeciw Osi z afrykańskich terytoriów Imperium. I to wszystko jest prawda. André Maurois, który był osobistym przyjacielem Reynaulda, pisze w swej książce „La tragedie en France”, że w gabinecie Reynaulda, na biurku, znajdowały się trzy aparaty telefoniczne. Jeden z nich połączony był bezpośrednio z mieszkaniem pani de Portes. Maurois stwierdza, że podczas jednej tylko krótkiej bytności jego w tym gabinecie pani de Portes telefonowała trzy razy do premiera i odrywała go od najważniejszych zajęć. Za trzecim razem wreszcie zirytowany Reynauld odłożył słuchawkę, nie skończywszy rozmowy. Maurois potwierdza, że Reynauld pozostawał pod przemożnym, decydującym wpływem swej przyjaciółki i że wpływ ten rozciągał się na najważniejsze sprawy polityczne.

Bezlitosny jest sąd Bois o generalii francuskiej. Stwierdza on, że szereg generałów starych, często powyżej siedemdziesięciu lat, nie mających wiary w potrzebę ani w szanse tej wojny, nie rozumiejących zupełnie wymagań nowoczesnej walki, znalazł się tu naprzeciw wielkiej rzeszy młodych, energicznych, sfanatyzowanych, znających świetnie swój zawód dowódców niemieckich. Rezultat musiał być taki, jakim był: bezprzykładna w swej szybkości i tragicznie katastrofa armii francuskiej, armii, która biła się doskonale, lecz której nie była ani uzbrojona, ani dowodzona.

Bois stał blisko ministra spraw zagranicznych, Georges'a Bonnet'a. Opisuje on jego katastrofalną politykę, którą w r. 1938 doprowadziła do Monachium, a w roku 1939 do zgubnych wahań w dniach 1-3 września i do opóźnionego, oddzielnego wypowiedzenia wojny Niemcom. Podkreśla jego zaślepienie wobec Włoch, jego całkowity brak skrupułów wobec Polski i Czechosłowacji, jego brak wiary w Anglię.

Obraz Francji, dany nam w tej książce, jest tak straszny, że aż wydaje się nieprawdopodobny. A jednak nie inaczej malują go w swych książkach Maurois i Kerillis, Glarner i Levy, Werth i Tabouis. A więc musi być prawdziwy!

Roman Fajans.

ANGIELSKA KSIĄŻKA O POLSKIM MALARSTWIE*)

Bogato ilustrowana książka Henryka Gotliba o polskim malarstwie stanowi bezspornie pozytywną pozycję w naszym ruchu wydawniczym: zaznajamia, i to w kulturalnej, ładnej formie, publiczność angielską z polskim dorobkiem artystycznym w dziedzinie malarstwa. Wydanie tej książki-albumu wypełnia pod tym względem dotkliwą lukę. Jak angielski historyk sztuki Wilenski przyznaje to w przedmowie, w Anglii o malarstwie na-



JAN MATEJKO:
Batory pod Pskowem (fragment)

szym nie wiadomo dotąd prawie nic, jeśli nie liczyć dorywczych zetek angielskich turystów z obrazami malarzy polskich, wystawianych w salonach paryskich. A zaprzecz się nie da, że kontakty kulturalne, zaznajamianie obcych z naszym kulturalnym dorobkiem, są równie ważne i równie trwale dać mogą owoce, jak kontakty polityczne i militarne; do jakich wojna obecna dała nam tak wyjątkową sposobność. Dzięki naszym lotnikom, naszym marynarzom i żołnierzom Anglicy przekonali się naocznie, że umiemy się dobrze bić, niechże się jeszcze dowiedzą, że kraj nasz nie był dziką dżunglą, po której spacerowały niedźwiedzie — lecz że pomimo trudnego położenia



STANISŁAW WYSPIAŃSKI:
Macierzyństwo

geopolitycznego, mimo ustawicznych wojen i najeżdów, mimo zaborów i ucisku — mieliśmy i mamy kulturę rzetelną, w wielu dziedzinach dorównującą kulturze krajów zachodniej Europy, o tyle bogatszych i szerszych w swych dziejach. Chwalebny i taktowny jest umiar, z jakim o malarstwie naszym pisze Gotlib. Przyznaje on, zgodnie z prawdą, że nie wytworzyliśmy, jak dotąd, jakiegoś własnego stylu czy prądu artystycznego, któryby promieniował swym wpływem na otaczające nas kraje, ale że przeciwnie, malarstwo nasze rozwijało się niejako w cieniu wielkiej sztuki włoskiej, francuskiej, w pewnych okresach niemieckiej, i że w szczególności w wiekach średnich wiele zapożyczyliśmy z Bizancjum.



TADEUSZ MAKOWSKI:
Chłopiec

Można jednak mieć zastrzeżenia co do celowości pewnego nadużywania krytycznych ocen przez autora. Po pierwsze malarz, piszący o innych malarzach, w szczególności o współczesnych mu artystach, z konieczności wypowiada o nich zdania subiektywne, zabarwione własnymi poglądami artystycznymi. Po drugie, w książce, przeznaczonej dla obcych, nie należałoby może wdawać się w wartościowanie, lecz raczej przedstawić charakter i styl danej epoki, danej grupy artystycznej, czy danego malarza, pozostawiając czytelnikowi wyrobienie sobie samemu sądu na podstawie oceny dołączonych reprodukcji. Gotlib odbronzowuje z za- pałem i przeważnie zresztą z dużą dozą szlachetności pewne nasze autorytety w dziedzinie malarstwa.

Byłoby to cechą dodatnią, gdyby nie okoliczność, że książka ma przecież w swym założeniu charakter popularny, że przeznaczona jest dla szerokiego społeczeństwa angielskiego i że — last but not least — pomyślana była jako wydawnictwo propagandowe, w najlepszym zresztą tego słowa znaczeniu, a więc powinna starać się wydobyć wszystkie plusy, a raczej stuszczać minusy naszego dorobku w dziedzinie malarstwa.

Tym bardziej, że z nie wszystkimi krytykami Gotliba można się zgodzić. Np. jego ocena Wyczółkowskiego wydaje mi się zbyt surowa, jak również zarzut płytkości, burżuazyjności i niestaranego rysunku, zrobiony w czambuł całej grupie artystów „Sztuki”. Pomija natomiast Gotlib w tekście pozycję tak oryginalną i dla obcych atrak-



ALEKSANDER GIERYMSKI: Piaskarze

cyjną (wielokrotnie miałam sposobność się o tym przekonać) jak Stanisław Wojtkiewicz. Ze wszystkich współczesnych grup artystycznych jedni tylko kapiści znaleźli jaskę w oczach autora, nie mówiąc o formistach, do których sam się zalicza.

Trafne bardzo jest podkreślenie przez Gotliba położenia Polski w punkcie skrzyżowania

dwóch światów i dwóch kultur: Zachodu i Wschodu, których wpływy na polską kulturę i jej wyraz w malarstwie dały często efekty bardzo oryginalne i swoiste. Skontrastowanie tych wpływów widzi autor nawet w psychice nowoczesnych artystów, u których instynkt, dekoracyjność, zamilowanie do żywych, soczystych barw, ściera się ze świadomością artystyczną, umiarem i sumiennością rysunku. Szkoda tylko, że podkreślając, o ile silniejszy był w polską sztukę i kulturę wpływ Zachodu, autor jednocześnie w poszczególnych wypadkach konstatuje zbyt często, że właśnie te cechy, które przypisuje żywym w polskiej psychice echem Wschodu — biorą u polskich artystów górę.

Dobór ilustracji jest naogół szczęśliwy. Prze-

glądając je, cudzoziemiec może sobie wyrobić nieję pojęcie o różnorodności, bujności i swoistej oryginalności polskiego malarstwa. Szkoda, że nie dało się zamieścić choć trochę ilustracji barwnych, które np. jeśli chodzi o naszych impresjonistów, dałyby lepsze o nich pojęcie, od reprodukcji czarno-białych em.

JADWIGA CZECHOWICZ

Wciąż o tym samym

Już wszystko, już wszystko odeszło,
A nic nowego nie wzrosło.
Jak mi nie wracać do Ciebie,
Ziemio! Ojczyzno! Wiosno!

Ślucham i patrzę i czekam,
Od tyłu już lat — bezdomnie.
Najprostsze szczęście człowieka
Nie może, nie może przyjść do mnie.

Obce mi nieba i szlaki
Przez lądy i morza cudze —
Coś mi odziera podstępnie
Cały ich czar ze złudzeń.

Nigdzie się serce zmęczone,
Nie schroni i nie przywiąże,
Wciąż gnane, wciąż niesione.
Fala tułacznych dążeń.

A przecież to takie proste,
Takie nawskroś człowiecze,
Ziemio! Ojczyzno! Wiosno!
Jakże ten czas się wlecze.

Dzięki

Dzięki Ci, Boże, za wygnanie,
Za mój opustoszały dom,
Za ból, za rozpacz, za oczekiwanie,
Niech tylko z męki mej powstanie
Sen — niepodobny wszystkim snom!

Dzięki Ci, Boże, za te krzyże,
Które mi ciężko, ciężko nieść.
Daj mi się ugiąć jeszcze niżej,
Niech tylko przez to się przybliży,
Najradośniejsza, cudna wieść!!!

Z PRASY OBCEJ

GDZIE POWSTANIE NOWY FRONT EUROPEJSKI

Perspektywy inwazji sprzymierzonych w Europie rozważa w bardzo interesującym artykule p. t. „Nadchodząca bitwa o Europę”, ogłoszonym w numerze z dnia 10 kwietnia londyńskiego „Picture Post”, kpt. F. O. Miksche.

Zdaniem autora artykułu — pisanego n. b. jeszcze przed zakończeniem kampanii tuniskiej — desant wojsk sprzymierzonych do Europy z Afryki to wariant trudniejszy i stąd mniej prawdopodobny. Istnieją tu trzy możliwości: desant na Bałkany, na półwysp Apeniński i na półwysp Iberyjski. Desant na Bałkany wymagałby przedniego oczyszczenia z wojsk Osi Kretę i wysp morza Egejskiego, desant na terytorium Włoch — przedniego zajęcia Korsyki, Sardynii i Sycylii.

Z pośród tych trzech desant na Bałkany byłby najtrudniejszy i stąd jest najmniej prawdopodobny. Jeśli się o nim mimo to często mówi, to tylko dlatego, że ludzie żyją ciągle pod wrażeniem wydarzeń z poprzedniej wojny. Wtedy jednak nogi on dojdzie do skutku przy czynnej pomocy Grecji, Wenecji. Obecnie, nawet gdyby się Sprzymierzonym udało oczyścić z wojsk Osi Kretę i wyspy archipelagu Egejskiego oraz wyładować w Grecji, z łatwością mogliby oni być zatrzymani w swej drodze na północ w wąskich, górskich dolinach Wardaru, Maricy i Strumy. Z dolin tych musieliby oni zdobywać ufortyfikowane szczyty.

Inwazja na Włochy? Ale Włochy to „ślepa ulica”. Drogę z Włoch do Niemiec zamykają Alpy, gdzie skutecznie mogłaby zatrzymać Sprzymierzonych stosunkowo niewielka ilość dywizji niemieckich. Wyprawa na Włochy miałaby większy sens tylko wtedy, jeśli jej dalszym etapem miała być ofensywa na wybrzeże dalmatyńskie. Ofensywa taka jednak, aby się powieść, musiałaby mieć zabezpieczone lewe skrzydło, a to zakłada uprzednie zdobycie Alp Dalmatyńskich.

Stosunkowo najłatwiejszym wariantem ofensywy z wybrzeża afrykańskiego byłaby ofensywa na półwysp Iberyjski. Jest ona jednak z jednego względu mniej prawdopodobna: Hiszpania jest stosunkowo najdalej położona od Niemiec. Zdobycie jej nie stwarza jeszcze dla Sprzymierzonych możliwości ofensywy bezpośredniej na Niemcy. Trzeba by potem zdobywać jeszcze Francję. Dlatego ofensywa taka miałaby swój sens tylko wtedy, gdyby była skombinowana z równoczesną ofensywą z Anglii na północną Francję.

Poza tym wszystkie próby ofensywy z Afryki natrafilyby jeszcze i na inne trudności. Północne wybrzeże afrykańskie, długości ponad 3.000 mil, posiada nie wiele portów, nadających się do operacji na wielką skalę. Porty te: Oran, Algier, Bizerta, Trypolis, Bengazi, Aleksandria, Port Said, rozrzucone są na znacznej odległości. Ofensywa z Afryki to — w dodatku — długie linie zaopatrzenia.

Desant sprzymierzonych w Norwegii jest mało prawdopodobny. Pomijając już trudności komunikacyjne i możliwości obrony, jaką następczą flordy, desant taki, nawet gdyby się udał, nie stanowiłby jeszcze śmiertelnego zagrożenia Niemcom.

Najlepiej przedstawiają się perspektywy desantu na północną Francję. Wybrzeże północne Francji obfituje w porty, nadające się do lądowania wojsk. Linie komunikacyjne skrócone byłoby w takim wypadku do minimum i można by wyeliminować niebezpieczeństwo łodzi podwodnych. Dziś, gdy Wielka Brytania stała się olbrzymim lotniskowcem, desantu takiego można by dokonać pod potężnym parasolem samolotów.

Wreszcie z północnej Francji do Niemiec jest stosunkowo najbliżej, tak że udany desant taki stanowiłby dużo poważniejsze zagrożenie Niemcom niż jakikolwiek inny.

Sily, potrzebne do przeprowadzenia desantu, oblicza autor na około 120 dywizji.

W związku z możliwością desantu kpt. Miksche uważa, iż wcale nie jest rzeczą pewną, że Niemcy rozpoczną w tym roku po raz trzeci ofensywę na froncie wschodnim. Ofensywa taka miałaby dla nich sens tylko w jednym wypadku: gdyby mogła doprowadzić do zniszczenia armii rosyjskiej. Otóż przy ogromnej rozciągłości linii frontu i wielkiej zdolności manewrowania, jakiej dowódcy złożyli Rosjanie w czasie poprzednich ofensyw, jest to mało prawdopodobne. A bez tego nawet posunięcie się pod sam Ural niczego jeszcze Niemcom nie załatwia.

Dlatego autor przypuszcza, że Niemcy gros swoich sił będą trzymali w centralnej Europie, tak aby je w razie desantu, mogli najkrótszą drogą przerzucić na każdy z możliwych frontów europejskich.

JAK UMARŁ MARSZAŁEK PETAIN

Pod takim tytułem francuski emigracyjny tygodnik „Le Marseillais” z dn. 11 maja b. r. ogłosił artykuł Josepha Kessela, autora sławnej „Żołęgi”, w którym czytamy m. in. co następuje: „Dnia 11 listopada 1942 r. zmarł marszałek Francji, Filip Pétain.

Niewątpliwie lekarze, prawnicy i rejestry stanu cywilnego nie będą zgodne z tą datą. Nie ma to znaczenia. Każdy we Francji wie, że marszałek Pétain zmarł 11 listopada ub. r...

Miał miejsce masakry zakładników, i Pétain nie podniósł głosu. Na ziemi, ponad którą powiewał trójkolorowy sztandar, oddawano emigrantów politycznych w ręce Gestapo, odrywano młode dzieci żydowskie od matek, gwałtem posyłano robotników do Niemiec. Biskupi protestowali publicznie, policjanci odmawiali wykonywania rozkazów, kobiety rzuciły się na tory pod lokomotywę. Marszałek Pétain milczał.

Każda nowa hańba, każda nowa obelga, zadawana duszy francuskiej, odrywała od marszałka część narodu. Ale wielu jeszcze ludzi, zwłaszcza oficerów, nie mogło się zdecydować na przyjęcie myśli, że starzec o rysach tak szlachetnych i o tak wielkiej przeszłości stał się głównym narzędnikiem wroga.

— Trzeba żałować marszałka, — mówili z rozpaczliwym uporem — i trzeba go słuchać. Godzi się on na to wszystko, aby móc lepiej oszukać Szwabów. Jest on zresztą niegodny. Zobaczycie. Zobaczycie.

Marszałek uprzejmie szedł tym plotkom naprzeciw. Od czasu do czasu dawał on do zrozumienia kilku wybranym gościom, że czeka na odpowiednią godzinę. Sprawiał, iż szeptał to jego ludzie bliscy, jego agenci. Była to owa sławna podwójna gra.

Dzięki temu podstępowi wizerunek marsz. Pétaina, bardzo już zużyty i bardzo przyblakły, żył jednak w dalszym ciągu...

11 listopada 1942 r. kolumny tanków niemieckich i pociągi pancerne, naładowane żołnierzami niemieckimi, przekraczają linię demarkacyjną i najeżdżają wolną strefę. Filip Pétain, marszałek Francji, jest Naczelnikiem Państwa.

Ale Marszałek Francji i Naczelnik Państwa nie nie przedsięwzięcie. Dysponuje on armią. Dysponuje flotą. Nie oddano ani jednego wystrzału. Ani jeden okręt nie podniósł kotwicy.

Generał Delattre de Tassigny chce przynajmniej ocalić honor, usiłując nakłonić swoją dywizję do bohaterstwa, beznadziejnego oporu. Zostaje zaareztowany jak złoczyńca.

Gen. Weygand po opuszczeniu Vichy został w biały dzień porwany na drodze przez Gestapo. Marszałek przyjmuje panią Weygand, wdycha, składa jej wyrazy współczucia, i to wszystko.

Niewypowiedziane osłupienie wstrząsnęło ostatnimi wiernymi... Drze się publicznie portrety marszałka. Oficerowie płaczą. Marynarze na pokładach krzyczą: „Precz z Pétainem! Niech żyje de Gaulle!” Uchodzą im to bezkarnie. W imię czego miałaby ich ukarać? W imię marszałka? Ależ marszałka już nie ma. Marszałek nie żyje.

KSIAŻKI DLA OKUPOWANEJ EUROPY

W Londynie powstał pod przewodnictwem dra Ernesta Barkera międzynarodowy komitet, którego zadaniem jest po pierwsze „zbadać sprawy dostarczenia po wojnie książek dla krajów okupowanych obecnie przez wroga”, po drugie nadzór nad „publikacją podręczników historii, któreby miały charakter obiektywny”. Komitet Pedagogiczny („Education Committee”), istniejący przy londyńskim International Assembly, w którym reprezentowane są wszystkie Rządy Sprzymierzonych, także i Rząd Polski, ma wkrótce ogłosić sprawozdanie z działalności Komitetu.

Nawigując do działalności Komitetu, wielki uczonej i humanista Gilbert Murray, najznakomitszy brytyjski grekista, przypomina w artykule p. t. „Światło dla ogarniętych nocą”, ogłoszonym w numerze z dn. 26 marca „Manchester Guardian Weekly”, że z propozycją oczyszczenia podręczników historii z szowinistycznych wyskoków wystąpił po pierwszej wojnie światowej Komitet Współpracy Międzynarodowej, istniejący przy Lidze Narodów. Państwa odpowiadają na tę inicjatywę naogół przychylnie, ale były i odmowy: „Jedną z nich była oficjalna odpowiedź naszego japońskiego członka, iż podręczniki japońskie zostały zatwierdzone przez Cesarza i dlatego żadne poprawki nie są im potrzebne. Komitet osłupiał, zwłaszcza że nasz kolega japoński był filozofem o wielkiej kulturze i poglądach liberalnych, zanim nie zorientowaliśmy się, że Cesarz jest istotą boską i, rzecz prosta, nie może być poprawiany (nie może także ponosić klęsk, jak to wynika z niektórych japońskich komunikatów). Drugi incydent wydarzył się, gdy dwa narody, które przypadkowo były w bardzo złych stosunkach wzajemnych, zgodziły się na poprawkę do rezolucji, która domagała się od Rządów powstrzymania się od „obraźliwych słów”, gdy mowa jest o obcych narodach. Żaden z obu wrogów nie mógł się na to zgodzić. Jeden podsunął, a drugi poparł, poprawkę, domagającą się od Rządów, aby mówili prawdę — co było całkiem różną propozycją.”

Zdaniem Murray'a praca Komitetu dra Barkera nie będzie łatwa: „Główne trudności są dwójakiego rodzaju. Istnieje sprzeczność między tymi, którzy starają się zastosować zasady etyki do wszelkiego postępowania ludzkiego, i pomiędzy ludźmi, wierzącymi w „politykę siły” i sądzącymi, że wszelkie rozważania etyczne na tematy międzynarodowe są bez sensu. Zasada dra Goebbelsa: „Nie mnie nie obchodzi, po czyjej stronie jest słusność; obchodzi mnie tylko to, kto wygrywa” — znajduje w wielu krajach szersze poparcie, niż się to ogólnie przypuszcza. Istnieje także sprzeczność między tymi, którzy zdolni są do przyznania, że ich kraj popełniał czasem czynny niehonor, i między tymi, którzy przypuszczają takie uważać za wysoce nieprawdopodobne.”

*) Polish Painting by Henryk Gotlib — with a Preface by R. H. Wilenski. Minerva Publishing Company — London — 1942 r., str. 68+147 reprodukcji

Przegląd polityczny

Rozwiązanie Kominternu jest niewątpliwie dużej miary sensacją polityczną. I to jest nią pomimo, że Komintern i bez tego ostatnio politycznie dogorywał.

Historia jego składa się z serii klęsk. Kierownictwo jego, działając w Moskwie, a więc w atmosferze bardzo różnej od tej, jaką oddycha reszta świata, łatwo traciło orientację w imponderabiliach życia politycznego innych krajów i popełniało zasadnicze błędy taktyczne. Najbardziej z tych chyba to taktyka niemieckiej partii komunistycznej z chwilą dojścia do władzy w Niemczech hitlerowców w r. 1933. Równocześnie zaś fakt istnienia w Moskwie Kominternu był dla Rosji olbrzymim utrudnieniem w utrzymywaniu dobrych stosunków politycznych z innymi państwami.

To też polityka sowiecka zaczęła w ostatnich latach traktować Komintern raczej jako zawadę niż wytyczną. Wybuch obecnej wojny zastał ZSRR w charakterze niemal że czwartego wielkiego partnera paktu antykominternowego. W tym też duchu zrehabilitowana została we wrześniu 1939 r. sławna enuncjacja Dymitrowa. Było to ostatnie publiczne wystąpienie polityczne Kominternu.

O istnieniu egzekutywy Kominternu można się było wtedy dowiedzieć tylko ze zbiorowo podpisywanych nekrologów, ogłaszanych od czasu do czasu w prasie sowieckiej z okazji zgonu jakiegoś wybitnego komunisty węgierskiego czy bułgarskiego.

A jednak ZSRR długo zwlekał z załatwieniem tej sprawy i zdecydował się na ten krok dopiero teraz, w momencie ożywionych rozmów dyplomatycznych. Zbyt wielkie nadzieje łączono kiedyś z jego istnieniem, zabaczal on o zbyt zasadnicze rzeczy w ideologii komunizmu, żeby władze sowieckie mogły się go łatwo i lekko pozbyć. Istnienie jego dawało zawsze pozor do tłumaczenia dla gorliwców rewolucyjnych, że wszystko inne to tylko meandry taktyczne, koniunkturalna zmiana linii, chwilowe odchylenie w oczekiwaniu na właściwy moment.

Rozwiązanie Kominternu sytuację tę zmienia.

Partie komunistyczne nigdy nie odgrywały poważniejszej roli politycznej w krajach anglosaskich. Są jednak dwa wielkie kraje na kontynencie europejskim, w których życiu politycznym partie komunistyczne były poważnym czynnikiem: Niemcy i Francja. Partie te zostały w obu tych państwach zepchnięte do podziemi, ale niewątpliwie działają i niewątpliwie w momencie zajmowania się Niemiec będą się chciały politycznie odegrać. Otóż rozwiązanie Kominternu jest równoznaczne oświadczeniem, że Rosja ogłasza swoje desinteressement wobec prób zorganizowania po wojnie rewolucji komunistycznej we Francji i w Niemczech. I tu właśnie tkwi zasadnicze znaczenie polityczne tego aktu. Ubocznym jego celem może być także sparowanie działalności propagandy niemieckiej, energicznie straszącej świat, że przegrana niemiecka oznacza zbrośzawizowanie Europy.

Czy rozwiązanie to oznacza także, że Rosja rezygnuje ze swoich wpływów politycznych i na inne kraje europejskie?

Istnieje w Moskwie Komitet Wschodniowski, rozwijający obecnie bardzo ożywioną działalność i nawołujący do skupienia się wszystkich narodów słowiańskich pod egidą Rosji. Działają nadal — co nas tu szczególnie interesuje — polska sekcja Kominternu. To że zmienia ona swój sztyl na Związek Patriotów Polskich, co więcej, że stara się nawet o uzyskanie prawa monopolu państwowego na patriotyzm, nie tu de facto nie zmienia. Jesteśmy zatem na ścieżkach prawach.

Wystarczy na kilka minut nastawić głośnik radiodiodniarki na kłórkę z włoskich stacji, aby stwierdzić, że we Włoszech panuje wielkie zdenerwowanie, które łatwo może przejść w panikę. Vittorio Gayda wymownie tłumaczy, że bombardowanie miast przez samoloty jest barbarzyństwem. Bardzo daleko odbiegłszy od nastrojów z czasów wojny abisyńskiej, kiedy to lotnicy włoscy publicznie przechwalali się swymi polowaniami na ludzi.

Włosi rozpoczęli działania wojenne w przekonaniu, że przystępują do wojny na pięć minut przed jej końcem i przed podziałem przez zwycięzców łupów. Tylko pod takim warunkiem mogli do wojny tej przystąpić: byli do niej zupełnie nieprzygotowani i materialnie, i psychicznie. I dlatego skoro wojna ta przeciągnęła się znacznie dłużej ponad włoskie przewidywania, musiła przyjść moment, kiedy jej główny ciężar zwał się właśnie na Włochy. Zawsze wyszukuje się najsłabsze miejsca w systemie obrony przeciwnika.

Dzieje Włoch w tej wojnie przyniosą nam jedną bardzo cenną naukę polityczną. Ież to razy jeszcze przed wojną tłumaczono nam: wolności obywatelskie, demokracja — tak, to wszystko są wartości bardzo cenne, ale pozwolić sobie na nie mogą tylko narody, które mają zapewniony pokój. Narodom, które z racji swego położenia geograficznego muszą się liczyć z koniecznością wojny, nie wolno korzystać z takiego „luku”. Tylko rządy silnej, dyktatorskiej ręki potrafią odpowiednio przygotować naród do wojny.

Ze wszystkich krajów zachodniej i środkowej Europy Włochy były pod rządami owej silnej ręki najdłużej. Jeśli więc przygotowanie kraju do wojny miało zależeć od istnienia w nim ustroju dyktatorskiego, Włochy powinny być wzorowo do wojny przygotowani. Już jednak Grecja potrafiła światu wyperswadować, że było inaczej. Historia obecnej wojny przykazuje nam, że o sprawności wojennej państwa decydują czynniki zupełnie innego rzędu, przede wszystkim potencjał gospodarczy państwa i wyrobienie polityczno-obywatelskie jego obywateli. Otóż państwa naprawdę demokratyczne należą do najlepiej zagospodarowanych, a demokratyczny system rządów jest wielkim wychowawcą charakterów. Okazało się w toku obecnej wojny, że przemysł brytyjski pracuje na potrzeby wojenne sprawniej od niemieckiego, mimo że prasa brytyjska potrafi gwałtownie krytykować brytyjskich ministrów i generałów (wystarczy przypomnieć, co gazety londyńskie wypływały o lordzie Beaverbrook'u albo o obrocie Nieuwlandu). Okazało się też, że Anglicy znoszą masowe naloty dużo lepiej od Włochów, mimo że wychowanie obywatela brytyjskiego przebiegało raczej pod znakiem swobodnej dyskusji niż ujętej w karby dyscypliny wojennej i wpajającej ślepy kult elokwentnego wodza partii.

www.

Kronika polska

— Żydowski Pen Club urządził dn. 13 maja b. r. w Tel-Awivie przyjęcie na cześć Władysława Broniewskiego i Mariana Czuchnowskiego. W imieniu pisarzy żydowskich witał obaj poetów znany imi poecie hebrajski Saul Czernichowski oraz pisarze I. Cohen, I. Neuman i A. Lewinson. Poza tym przemawiali konsul Rosmarin, dr Lazar, Broniewski i Czuchnowski. Tegóż samego dnia wieczorem odbył się w Tel-Awivie w ramach wystawy „Armia Polska na Wschodzie” w fotografii i plakacie” wieczór autorski Władysława Broniewskiego.

— Amerykańska Akademia Nauk i Sztuk („American Academy of Arts and Sciences”) przyznała nagrodę w wysokości 1.000 dolarów przebywającemu obecnie na emigracji w Stanach Zjednoczonych Józefowi Wittlinowi za jego powieść „Sól ziemi”. Jak wiadomo, za „Sól ziemi” Wittlin otrzymał jeszcze przed wojną nagrodę „Wiedomości Literackich”. „Sól ziemi” została przetłumaczona na języki: angielski, francuski, niemiecki, włoski, rosyjski i flamandzki. Z pośród dziesięciu laureatów Amerykańskiej Akademii Wittlin jest jedynym cudzoziemcem.

— Jako czwarty tomik serii „Polish Studies and Sketches” ukazała się wydana przez Ministerstwo Informacji w Londynie broszura, poświęcona przedstawieniu historii kościoła ewangelickiego w Polsce „The Protestant Church in Poland”. Broszurę ilustrują cztery fotografie; ostatnia z nich przedstawia księdza biskupa dra Juliusza Bursche, zamęczonego przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu.

— Wydawany w Londynie i Edynburgu „West-Slavonic Bulletin” ogłosił w drugim wydaniu książkę Tadeusza Sulimirskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, p. t. „Poland and Germany. Past and Future”. Książka, obficie ilustrowana mapami, dużo miejsca poświęca czasom przedhistorycznym. Przedmowę napisał kapitan Alan Graham, członek Parlamentu Brytyjskiego.

— „Orzeł Biały” wydał pod datą 25 kwietnia obszerny, dwunastostronicowy propagandowy numer w języku angielskim. Numer przynosi artykuły o polskim wysiłku wojennym, celach wojny, osiągnięciach kultury polskiej. Rolę artykułu wstępnego spełnia „A Letter to a British Soldier”.

— Nakładem „Nowej Polski” ukazała się broszura Józefa Blocha „Plan Beveridge’a w zarysie porównawczym”, odbitka z drugiego tegorocznego zeszytu „Nowej Polski”.

— „Journal of the Royal Asiatic Society” przynosi w zeszycie z października ub. r. rozprawę L. Bogdanowicza „The Muslims in Poland, Their Origin, History and Cultural Life”, przynoszącą w krótkim zarysie historię Tatarów polskich i charakterystykę ich działalności kulturalnej (przede wszystkim „Rocznika Tatarskiego”) w Polsce współczesnej. Rozprawa ta ukazała się także w osobnej odbitce.

— Kolon w Londynie wydał Stefana Gaźla szkice, przynoszące epizody z dzieł marynarki polskiej w obecnej wojnie „Z morza i portów”.

— Towarzystwo Czechosłowackie w Kalkucie wydało bogato ilustrowaną książkę w języku angielskim p. t. „Czechoslovak-Polish Relations”. Dochód ze sprzedaży książki przeznaczony jest na fundusz pomocy dla dzieci polskich w Indiach. Marcowy numer wychodzącego w Bombaju polskiego miesięcznika „Polish News” poświęcony jest w znacznej części zagadnieniom współpracy polsko-czeskiej. Numer przynosi teksty przemówień dr E. Banasińskiego, konsula generalnego R. P. w Bombaju, i p. Władysława Urbana, konsula czechosłowackiego w Bombaju, wygłoszonych w Bombaju dn. 8 lutego b. r. na zebraniu Polsko-Czechosłowackiego Komitetu Współpracy, zwołanym dla uczczenia drugiej rocznicy podpisania w Londynie deklaracji polsko-czechosłowackiej z dn. 23 stycznia 1941 r.

— Dn. 13 listopada ub. r. miało miejsce w Bibliotece Polskiej w Kabulu ogólne doroczne zebranie Związku Polaków w Afganistanie. Sprawozdanie z działalności Związku informuje, iż Polacy w Afganistanie zebrali sumę 429 funtów, którą przekazali na ręce gen. Sikorskiego na polskie cele wojenne.

— W lipcu ub. r. zginął w pustyni Chash w Afganistanie w czasie spełniania swych obowiązków polski geolog dr Adam Draht. Staraniem Polaków w Afganistanie dr Draht pochowany został na cmentarzu chrześcijańskim w Kabulu.

— Dn. 26 maja w auli Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie odbyła się akademія, urządzona z okazji czterechstulecia śmierci Mikołaja Kopernika. Akademię zajął kanclerz Uniwersytetu dr. Magnes. Następnie na temat filozoficznego znaczenia odkrycia kopernikańskiego przemawiał po hebrajsku i po polsku Marcin Buber, profesor filozofii społecznej w Uniwersytecie Jerozolimskim, b. honorowy profesor religiofilii w Frankfurtu. Zakończył akademię odczyt dra Samuela Samburskiego, docenta fizyki doświadczalnej, poświęcony stronie fizyko-matematycznej odkrycia Kopernika.

— Zeszyt z 15 lutego b. r. wydawnego w Londynie miesięcznika „La France Libre” przynosi artykuł min. Stanisława Mikołajczyka p. t. „W Polsce ludzie uczą się poznawać Niemcy” („C'est en Pologne qu'on apprend à connaître l'Allemagne”). Też artykułu jest, że Niemcy w dziedzinie polityki ludnościowej starają się stworzyć sytuację „faktu dokonanego”, który trudnoby było zmienić nawet w wypadku zwycięstwa Sprzymierzonych.

— Pod datą 3 maja b. r. wyszedł obszerny nowy numer pisma hektografowanego Domu Uzdrawień Armii Polskiej na Wschodzie „Pauza”. W numerze na uwagę zasługują: artykuł inż. Antoniego Kotużyńskiego „Chłop i rola” i obszerna — 20 stron — „Historia sztuki polskiej” Tadeusza Terleckiego.

— W Bagdadzie nakładem Korpusu Oficerskiego 18 p.p. ukazał się tom wierszy Bolesława Redzisa, podporucznika 18 B.S., zatytułowany „Droga do Polski”. Książkę zdobią fotografie gen. Andersa, gen. Tokarzewskiego, płk. Rudnickiego, ppłk. Domania i autora.

— Teherański dziennik „Meyhan-e-Parestan” zamieścił dn. 4 kwietnia b. r. wywiad z dr Jerzym Lenczowskim, attaché prasowym Poselstwa R. P. w Teheranie, p. t. „Polacy wyjeżdżają z Iranu”.

— Ukazał się w Teheranie kwietniowy numer polskiego biuletynu w języku francuskim p. t. „La Nouvelle Europe”. Numer ten, wydany przez Polską Służbę Informacyjną w Teheranie, jest poświęcony w znacznej części stosunkom polsko-sowieckim.

— Teherański dziennik „Keyhan” zamieścił w kwietniu dwa artykuły Wacława Logi p. t. „Jak Niemcy zaczęli wojnę z Polską” i „Przebieg wojny w Polsce w r. 1939”.

Bliski i Środkowy Wschód po wojnie

Zagadnieniom powojennej organizacji Bliskiego i Środkowego Wschodu poświęca artykuł londyński „The Economist” z dn. 3 kwietnia b. r. Przypatrzmy z niego najciekawsze fragmenty:

„Co można zrobić? Idealnym, rzecz prosta, rozwiązaniem byłaby polityczna federacja i unia gospodarcza całego Środkowego Wschodu. Ale prawdopodobnie nie to polityka dzisiaj możliwa. Poczucie wspólnoty celów jest bardzo słabe, albowiem ruch panarabski jest silnym czynnikiem tylko wśród tych Arabów, którzy nie osiągnęli jeszcze niezależności politycznej. Zadaniem jego jest nie tyle połączenie Arabów, co współpraca arabska przeciwko światu zewnętrznemu. Nawet w tym negatywnym sensie ruch panarabski nie ma żadnego znaczenia dla Turcji albo dla Persji. Zagadnienie kierownictwa jakiegokolwiek federacji Bliskiego Wschodu jest problemem nierozwiązalnym. Mogą się go domagać Turcy, Persowie i Egipcjanie, każdy z tych narodów jako dziedzic wielkiego imperium, czy też Turcja i w mniejszej mierze Egipt na tej zasadzie, że rozwinęły się w silne państwa współczesne. Trudności rodzinne komplikują sytuację Iraku i Arabii Saudowskiej. Ibn Saud zajął swoje królestwo przez wypędzenie dynastii Husseina, panującej obecnie w Iraku i Transjordanii. Istnieje wiele nierozwiązalnych konfliktów: czy Transjordania czy Arabia Saudowska ma mieć zwierzchnictwo nad portem w Akabie; sprawa granicy między Irakiem a Persją w Shatt-el-Arab; załatwienie alii prawdopodobnie nadal delikatny problem mossulskich pól naftowych; wreszcie najgorszy ze wszystkich problem Palestyny. Środkowy Wschód jest raczej podobny do Bałkanów, gdzie narzucająca się potrzeba politycznej i gospodarczej jednoci zawsze była paraliżowana przez spory graniczne, problemy mniejszościowe i różnice religijne.

Pierwszy krok w kierunkach pozytywnego rozwiązania musi być zrobiony i znaczna część odpowiedzialności spada tutaj na Imperium Brytyjskie. Trzeba zacząć od przywrócenia jednoci Syrii, nie francuskiej Syrii z ostatnich lat, ale historycznej Syrii, obejmującej Syrię, Liban, Palestynę i Transjordanię.”

Rozwiązanie takie — tłumaczy dalej autor artykułu — będzie miało przeciwko sobie żywioły skrajne zarówno ze strony żydowskiej, jak i arabskiej. Zwolennikami jego są żywioły umiarkowane obu narodów, a najwzmowniejszego rzecznika ma ta koncepcja w doktorze Magnesie, kanclerzu uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie. Rozwiązanie problemu widzi on w dwunarodowości konstytucyjnej typu szwajcarskiego w Palestynie, któryby wchodził w skład wielkiej Syrii.

„Drugim możliwym krokiem w kierunku wzmocnienia federacji Środkowego Wschodu byłoby wzmocnienie Paktu Saadabadzkiego, zawartego przez Turcję, Irak, Persję i Afganistan, który byłby automatycznie odnowiony na dalszych pięć lat z początkiem bieżącego roku. Jak dotychczas jest to niegroźny pakt o nieagresji, który jest niepełny. Gdyby objął jeszcze Egipt, Arabię Saudowską i nową federację syryjską, mógłby stać się regionalnym paktem bezpieczeństwa w ramach szerszego systemu światowego.”

Pierwotnym celem przyszłej centralnej organizacji gospodarczej dla Środkowego Wschodu powinno być obecne, stworzone w czasach wojennych, Centrum Zaopatrzenia Środkowego Wschodu (Middle Eastern Supply Centre). Organizacja taka powinna się zająć powojenną rekonstrukcją gospodarczą Środkowego Wschodu, opracować plany elektryfikacji, irygacji, kontroli rzek. Organizacja taka jest tym potrzebniejsza, że obecne granice dzielą niektóre tereny w sposób sztuczny.

Odpowiedzialność za powojenną polityczną i gospodarczą organizację Środkowego Wschodu — kończy autor artykułu — spada na wielkie mocarstwa, przede wszystkim na Wielką Brytanię. Dla odpowiedniego zorganizowania Środkowego Wschodu potrzeba, jest już dzisiaj polityka, umiająca przewidywać na daleką przyszłość, oraz kadry administracyjne odpowiednio elastyczne i sprawne.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH!

NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieleżne trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL-AVIV, ul. ALLENBY 83

OPERA EREZ ISR. AMAMIT

Repertuar na terenie Palestyny od dnia 1 do dnia 15 czerwca 1943

3	czerwca	Tel-Aviv	— PIĘKNA HELENA
7	”	Tel-Aviv	— MME. BUTTERFLY
12	”	Tel-Aviv	— PIĘKNA HELENA
14	”	Ramat-Gan	— PIĘKNA HELENA
15	”	Tel-Aviv	— PIĘKNA HELENA



Codziennie występy znakomitych artystów. Wobec niebywałego powodzenia jeszcze przez cały czerwiec.

Od godz. 7.30 wiecz. Dancing — — —

Od godz. 5-tej podwieczorki taneczne.

WYDAWNICTWA SOWIECKIE

NOWYJ MIR

Doszedł nas teraz styczniowy zeszyt czołowego sowieckiego miesięcznika literackiego „Nowyj Mir”. Zeszyt jest z wielu względów bardzo interesujący. Przynosi on m. in. drugą część powieści historycznej S. Siergiejewa-Censkigo, autora głośnego „Złota Sewastopolskiego” („Sewastopolskaja Strada”) p. t. „Brusiłowski proryw”. Powieść jest znaną jako próba apoteozowania epizodów rosyjskiej historii wojennej z przeszłej wojny światowej, którą oficjalna sowiecka historiografia jeszcze bardzo niedawno potępiała w czambuł. W tok powieści użłasn autor za stosowne wpleść następujący ustęp z „Pamiętników” Lloyd George’a:

„Francuzi gromadzili swoje pociski tak, jakby to były złote franki, i z dumą wskazywali na olbrzymie zapasy w rezerwowch składach, leżących poza linią frontu... Kiedy Anglia zaczęła naprawdę produkować broń i poczęła wypuszczać setki dział mniejszego i większego kalibru i setki tysięcy pocisków, generałowie brytyjscy odnosili się do tej produkcji tak, jakby przygotowywali się do konkursu czy współzawodnictwa, którego cały sens zamykałby się w tym, aby uzbrojenie brytyjskie było nie gorsze, a lepsze od uzbrojenia każdego ze współzawodników, biorących udział w tym konkursie... Do świadomości kierownictwa wojennego obu krajów widocznie nie doszło to, że uczestniczą one w tym przedsięwzięciu wspólnie z Rosją i że dla powodzenia całego przedsięwzięcia trzeba połączyć w jedno wszystkie zapasy, tak aby każdy z uczestników znalazł się w najkorzystniejszych warunkach dla współpracy w osiągnięciu wspólnego celu... Na każdą propozycję, dotyczącą uzbrojenia Rosji, francuscy i brytyjscy generałowie odpowiadali w r. 1914, i w 1915, i w 1916, że nie mają obowiązku nie dawać, a jeśli i dają Rosji cośkolwiek, to tylko z uszczerbkiem swoich własnych, palących potrzeb...”

Numer przynosi także autobiograficzny artykuł Aleksieja Tołstoja „Mój put”, ogłoszony z okazji jubileuszu 60-lecia urodzin pisarza. Protestuje tu Tołstoj energicznie przeciwko opinii, jakoby bódźcem do napisania „Piotra I” miała być dla niego chęć „projekcji współczesności”. Powieść tę napisał, bo go pociągała bujność, pełnia i twórcza siła, bijące z historii tego życia, „z wyjątkową wyrazistością odsłaniającego charakter rosyjski”, i tylko dlatego.

W ub. r. Tołstoj napisał komedię-pamflet na faszyzm p. t. „Czarny most”, zapowiadając trylogię o Iwanie Groźnym i trzecią część „Piotra I”.

Wreszcie znajdujemy artykuł S. J. Sstrajcha „Genialny uczonej rosyjski W. O. Kowalewski”, zamieszczony z okazji przypadającego na koniec ub. r. stulecia urodzin wielkiego paleontologa.

Kowalewski urodził się na Witebszczyźnie, ojcu jego na imię było Onufry. Rodzina była katolicka. Zdawałoby się więc, że polskie pochodzenie Kowalewskiego nie może podlegać najmniejszej wątpliwości.

A teraz posłuchajmy, co o pochodzeniu Kowalewskiego ma do powiedzenia autor:

„O ile można wnioskować z dokumentów archiwum rodzinnego i innych materiałów (jakich?), przodek Kowalewskiego pochodził z białoruskich rolników. Początkowo rolnicy ci byli wyzyskiwani przez polskich właścicieli ziemskich i w znacznej mierze spolszczyli się pod naciskiem panów. Po zjednoczeniu Białorusi z centralną Rosją znaleźli się oni pod jarzmem wielmożów Katarzyny. Nie wielu z pośród nich udało się dowiedzieć swojej przynależności do wolnych rolników i uzyskać uznanie ich praw słańskich. Do takiej ślaczty, jak się zdaje („powidomim”) — to „powidomim”) po uprzednim powołaniu się na dokumenty archiwalne i „inne materiały” ma tu bardzo zabawną wymowę), należał właściciel wsi Szustianska, dźwińskiego powiatu, witebskiej gubernii, O. O. Kowalewski”.

Sowieckie druki w języku polskim

Wydawany w Kułbyszewie sowiecki dwutygodnik w języku polskim „Nowe Widnokręgi” przynosi w pierwszym tegorocznym zeszycie zestawienie wydawnictw, ogłoszonych w ZS.R.R. w języku polskim w ub. r. Obejmuje on następujące pozycje:

J. Stalin. O wielkiej wojnie ojczyźnianej Związku Radzieckiego. Str. 67.
M. Kalinin. Zwycięstwo będzie nasze. Str. 71.
Mikołaj Tichonow. Leningradzkie opowiadanie 1942. Str. 59.
P. Lidow. Tania. Opowiadanie o bohaterskiej dzweczynie-partyzance. Str. 32.
W. Bielajew. Barbarzyńcy w monoklach (Niemcy w Polsce). Str. 55.
Juliusz Brun. Ziemię polskie pod jarzmem niemieckim (liczba stron nie podano).

Autor notatek o tych broszurach pisze o ostatniej z przytoczonych tu, Bruna: „Temat tej broszurki zajmie każdego Polaka, niezależnie od jego takich czy innych przekonań politycznych, niezależnie od tego, w jakich obecnie żyje warunkach, ani jakimi drogami zawędrował w głąb Związku Radzieckiego”.

Autor uważa zatem, że drogi, jakimi Polacy „zawędrowali w głąb Związku Sowieckiego”, mogą wpłynąć na ich ustosunkowanie się do pozostałych z wymienionych wyżej broszur. Zawsze byliśmy tego zdania. Ale miko nam znaleźć jego potwierdzenie w sowieckim wydawnictwie.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalet Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press
Jerusalem. Hassolel St. 9. Tel. 2898